

Piętnastoletni KAPITAŃ

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 10. VI. 62 r.

Nr 23 (223)

Cena 1 zł



Z długiej listy uczestników Kursu Aktywności Dziecięcej, zorganizowanego przez Komendę Chorągwi Łódzkiej i TPD w kwietniu br. w Wiśniowej Górze, wybrałam „na chybili trafili” jedno nazwisko: Bogdan Danisiewicz zam. przy ul. Nowotki 44. Trzymając w ręce kartkę z adresem, rozglądam się po podwórku — jest bardzo wąskie, długie, wybrukowane „kocimi łbami”, zamknięte z jednej strony obdrapanymi kamienicami, a z drugiej — rzędem czarnych komórek. W tej chwili jest tu prawie zupełnie pusto, tylko pod wysokim ogrodzeniem trzy małe dziewczynki grają „w klasy”. Typowa łódzka kamienica, typowe łódzkie podwórko — dom kilkudziesięciu dorosłych ludzi i miejsce zabaw ich dzieci.

Kiedy zjawili się w mieszkaniu p. p. Danisiewiczów, matka Bogdana natychmiast potwierdziła z dumą: „Tak, proszę pani, to mój syn jest tutaj kapitanem”.

Piętnastoletni „kapitań” uśmiecha się zażenowany, wyjmując eksponaty — zdjęcia, plakietki, kronikę, a potem przeprosza na chwilę, biegnie po kolegów, zawiadamia o moim przybyciu p. Annę Spiewak — radną

DRN — Śródmieście — prorektorkę wszystkich dziecięcych poczyni i współzależniczkę Kola TPD przy ul. Nowotki 44. I dopiero wówczas rozpoczęła się opowieść o wspólnej pracy dzieci i dorosłych.

Wszystko zaczęło się jeszcze przed 8 laty. Wtedy to po raz pierwszy na podwórku obchodzono uroczystości Międzynarodowy Dzień Dziecka. Od tej pory, co roku, w dniu 1 czerwca plakaty, rysunki, dywaniki, girlandy i kwiaty przesłaniają brudne mury, a całe ponure podwórko zamienia się w kolorową estradę. Odbijają się tu występy w wykonaniu samych dzieci, przeprowadzane są konkursy, zgaduj-zgadule. Pierwsze przygotowania i próby rozpoczynają się już w styczniu. Trzeba przecieć na czas, „na sezon” ułożyć program artystyczny, przygotować dekoracje, postarać się o nagrody, zaprosić gości. Moi gospodarze przypominają najpiękniejsze obchody Międzynarodowego Dnia Dziecka w dziejach podwórka.

— Przed dwoma laty była u nas pani Zofia Bartnicka i pani Janina Mackiewiczowa. Wystawiliśmy wtedy bajkę o krasnoludkach, a wszystkie dzieci otrzymały książeczki PKO z wkładem



po 20 zł, słodczyce, długopisy i inne upominki.

1 czerwca jest naprawdę wielkim przeżyciem i wydarzeniem. Nie dziwny się więc następującym słowom Mietki Stróż (gazetka z dn. 1. VI. 1961 r.):

„Międzynarodowy Dzień Dziecka obchodzony jest na całym świecie. W naszej posesji dzień spędzamy miło. Zawdzięczamy naszej Pani Annie Spiewak, przewodniczącej naszego kola TPD

przy ul. Nowotki 44. Pani Anna Spiewak robi nam co roku imprezy, na których tańczymy, śpiewamy, deklamujemy wiersze. Pani Spiewak zabiera nas do kina, teatru, Filharmonii, i wyjeżdżamy na wycieczki. Kochamy Panią Spiewak. Ona też nas na pewno kocha.

Dalszy ciąg
na str. 6

O tych, co na morzu...

Taki tytuł nosić będzie cykl reportaży Mirosława AZEMBSKIEGO, którego druk rozpoczniemy już w najbliższym numerze „Odgłosów”. Autor odbył rejs na jednym z naszych statków handlowych — tzw. „przełot przez Atlantyk”. Z bystrością wytrawnego obserwatora podpatrzył życie i obyczaje polskich załóg pływających i opowiada o nich w sposób niezwykle frapujący.

EWA OSTROWSKA

Romantyk na skale powiatu

Ma imię romantycznego bohatera, puszkowskiego Eugeniusza, ale już dawno przestał być romantykiem. Kiedyś nim, owszem, był. Może nawet celowo wzorował się na Onieginie — czytał tyle razy, że na pamięć znał jego wierszowane dzieje — a może po prostu miał taki wygląd: włosy blond, lekko faliste, nos z rosyjską zadartą, oczy marzace — jak to się mówi: melancholijne. W każdym razie niejednemu mu kumpelowi wymówił: Ech, ty romantyk! a żona w domu nie raz i nie dwa krzyżała: — kiedy ty wreszcie zajmiesz się uczelnią, portki dziurawe nosi! — w taki to sposób wyrzucał mu ludzie romantyzm. Ale jeszcze i teraz zostało coś w nim nietypowego, ponadpowiatowego, chociaż zasadniczo przewyżnia nie leży w zadumany wzrok. Eugeniusz nauczył się patrzeć rozsądnie i wyłącznie na tyle, na ile widać w odległości nosa, dalej nie — o, już nie! Decz jakies puszkowskie skazanie przeważało, i trudno określić, na czym ono polegało: przecież nie poznał Tatiany, a zagrał po prostu — dzisiaj nie ma już Tatian — sam to mówi.

Jego żona, choć czarnooka, miała szerokie biodra, duże piersi i trwała ondulacja na rozjaśnionych prymitywnie, wodą utlenioną — włosach. To taniej. I ona pierwsza powiedziała: dosyć głupich mrzonk, trzeba jeść, żyć trzeba — jazda, do roboty! Nie ma co ukrywać, to było jej święte i cywilne prawo, prawo małżeńskie — odnotowane w księdze Stanu Cywilnego, podpisane przez dwóch świadków, obu na stanowiskach (jeden w Radzie Narodowej, drugi jest kierownikiem sklepu) ale mniejsza o ślub cywilny, bo to życie na „kocią łapę”, przecież i ksiądz przy głównym ołtarzu zagwarantował stulą, a organy

przypieczętowały jej prawo. Co prawda, to organista Ziełński przyłapał porządnie, lecz nie dziwnego: do czwartego ślubu tego dnia grał.

Dla niej, urodzonej i wychowanej wśród kocich łbów wąskich uliczek schodzących się jak na niedzielny spacer przy placu Kościuszki, obca była sentymentalna kokieteria losu, więc, gdy Eugeniusz — Genos — myślała — powiedział — Pobierzmy się, co? — no, to wyszła za niego. A on miał duszę szeroką, do marzeń skłonna i wiersze pisywał rymowane.

— Wcale dobre wiersze — powiedział Eugeniuszowi jeden redaktor z Łodzi, — tylko że niedźsiejsze, nim kariery literackiej pan nie zolisz — powiedział Eugeniusz w pierwszej chwili uśmiechając się, że redaktor serio, ale tamten powiedział jeszcze — panie, jakby pan wierzył, placząc do tych oczu — przez łzy i w dal — dorzucił, to, panie, dopiero byłaby metafora. Jak ze Staffa żywcem wzięta. Więc Eugeniusz zrozumiał. Redaktor, choć głowy dystygowany, w garniturze z kamizelką, zapisał sobie z niego, no, to Eugeniusz zeszyt krótkowany w rulonik zwinął, w kieszeń marynarki wsunął i wrócił do domu, do powiatu. Tam było jego miejsce prawne.

— Ale redaktor nie wiedział, że za miesiąc powiatowym Ł. tylko jedna szosa była i to wcale nie asfaltowa; ale w kostce, a reszta — to właśnie zakurzone drogi w dal, na których, jak wiatr kurzem, w oczy powieje, to oczy bawia. I jeszcze nie wiedział redaktor, że te drogi szły między drzewami, gdzie i niejedna wierzba placząca by się znała. Więc Eugeniusz wiersze wiał oiswiał, tylko, że już rękami, żeby nikt nie powie-

Dokończenie na str. 8

JULIAN BRYSZ

„JĘDRZEJCZAK, WRÓĆ Z TARCZĄ!”

W klasie, zamienionej na poczekalnię przedegzaminacyjną, ktoś wielkimi literami, wypisał na tablicy: „Jędrzejczak, wróć z tarczą!”. Nie wiadomo, czy któryś z uczniów wychodząc, przypomniał Jędrzejczakowi, by stać się na egzamin z tarczą szkolną na rękawie, czy też chodziło o to, aby Jędrzejczak nie wracał z egzaminu „na tarczy”.

Raczej jednak piszący miał na myśli ten drugi, alegoryczny sens zawołania, bo przecież nauczyciele w tej chwili wcale nie zwracają uwagi, czy wizytowe, eleganckie ubranie maturzysty zaopatrzone jest w tarczę. Wystarczyło zaled-

wie kilka dni od chwili zakończenia lekcji do ponownego spotkania „oko w oko” przy egzaminie ustnym i oto patrzy już na swoich wychowanków całkiem inaczej.

Nauczyciele zdają sobie sprawę, że proces „doroslenia” maturzystów zaczyna się nie z chwilą otrzymania świadectwa, lecz trwa już teraz. I teraz właśnie, w czasie egzaminu, dorosła istota w wizytowym garniturze jest najbardziej wrażliwa, ambitna i stre-mowana. Oto Piotr Rajchert — rozwiązuje doskonale skomplikowane zadanie z fizyki i nagle „lamie się” pod koniec, nie może

w żaden sposób podzielić 100 przez 80. Ale nikt mu za to przecież stopnia nie obniży. Między nami, dorosłymi sprawa jest zrozumiała, jasne, że to tylko skutek zdenerwowania.

Zapomnieliśmy dodać na wstępie, że rzecz dzieje się w XXI Liceum Ogólnokształcącym w Łodzi, w znatłoczonej do granic możliwości bukietami kwiatów i pomocami szkolnymi sali egzaminów maturalnych. Wysoka Korisja pod przewodnictwem dyrektorki szkoły, pani Genowefy Jędrzejczak (bez pokrewieństwa z tym, któremu zakazano wra-cać na tarczy) składa się

wyłącznie z kobiet. Zdają dzisiaj natomiast sami chłopcy.

Przed egzaminatorką z Wiadomości o Polsee i Święcie Współczesnym (tzw. WOPS) zasiada Marek Zgierski Wyclaga temat: struktura organizacyjna ONZ. Nie myśl, czytelniku, że tak łatwo jest wymienić wszystkie agendy światowego parlamentu, określić zakres ich działalności. Ale Marek nieźle daje sobie radę, choć właściwie jego mocną stroną są przedmioty matematyczne. Zwyciężył w tym roku w ogólnym

Dokończenie na str. 5

ROZMOWA

ODGŁOSÓW Z:

prof. dr Mieczysławem SERWIŃSKIM

dziekanem Wydziału Chemii Spożywczej i kierownikiem Katedry Inżynierii Chemicznej

O:

- * postępie technicznym
- * jedynym w Polsce Wydziale Chemii Spożywczej
- * nowych specjalistach inżynierii chemicznej
- * pracy i technice.

— Określenie „postęp techniczny” stało się od pewnego czasu bardzo popularne. Od kiedy moda na „postęp” zaczęła się w przemyśle spożywczym?

— Stosunkowo niedawno. Od kilku zaledwie lat.

— Nie zdarzyło mi się spotkać z oficjalną definicją postępu technicznego. Wręcz przeciwnie, obserwujemy, że jest on w różny sposób określany. W gabinecie dyrektora departamentu mówi się o postępie inżynierii, np. w Komitecie do Spraw Techniki. Czym jest postęp techniczny dla pracownika nauki?

— Dla naukowca postępowanie techniczne jest tworzenie opracowania nowych metod badawczych lub procesów technologicznych i wprowadzanie ich do produkcji.

— Wychodząc z tego sprzeciwiamy: jakimi formami wyraża się postęp techniczny na prowadzonym przez Pana Profesora Wydziale i Katedrze?

— Określany on jest kierunkiem naukowym naszych prac.

— Bardzo prosimy o szersze omówienie tego zagadnienia. Nie wszystkim wiadomo, że Wydział Chemii Spożywczej Politechniki Łódzkiej jest jedynym wydziałem tego rodzaju na Politechnikach w Polsce. Jakże jest jego zadanie?

— W zakresie dydaktyki przygotowujemy kadry magistrów inżynierów dla większości gałęzi przemysłu spożywczego w kraju. Ich zadaniem jest podnieść jakość i wartości odżywcze żywności, m. in. i artykułów eksportowanych, aby mogły one zadowalać najbardziej wymagających odbiorców. W warunkach dużej konkurencji na rynkach światowych jest to zadanie niełatwe. Niemniej nasz przemysł spożywczy zajmuje jedno z pierwszych miejsc w eksporcie naszych towarów za granicę.

— W ramach Wydziału działa szereg katedr. Jakże są kierunki ich najważniejszych prac?

— Nie sposób wymienić wszystkich. Jeśli idzie o Katedrę Cukrownictwa, kierowaną przez prof. dr. S. Zagrodzkiego, to wymienić tu trzeba prace pt. „Oczyszczanie soku dyfuzyjnego buraczanego” i „Zastosowanie wymienników jonowych do odwapniania soku po saturacji”. Jest to nowa technologia, która znalazła pełną realizację przy kontraktach eksportowych. W zakresie Katedry Fermentacji, kierowanej przez prof. dr. S. Masłora, na uwagę zasługuje „Stabilizacja hrzeczki piwnej w celu skrócenia okresu



Prof. dr. Mieczysław Serwiński

leżakowania piwa oraz produkcja koncentratów chemicznych jako preparatu utrwalającego”. W Katedrze Mikrobiologii Technicznej prof. dr. J. Jakubowski wymienia „Metabolizm (czyli przemianę) bakterii z grupy fermentacji mlekowej i octowej” i szereg innych.

— Czy nie popelnia się błędów mówiąc, iż prace podejmowane w Katedrach w ostatecznym efekcie docierają do zwykłego śmiertelnika, do konsumenta towarów przemysłu spożywczego?

— Można to i tak wyrazić. Ważne jest w tym wszystkim to, że zmienili się zasadniczo systemy produkcji. Z wytwórczości typu rzemieślniczego w produkcję wielkoprzemysłową, opartą o nowoczesne urządzenia i aparaturę.

— Przejdźmy teraz do Katedry Inżynierii Chemicznej. Co oznacza ta nazwa?

— Inżynieria chemiczna jest nauką traktującą o teorii podstawowych procesów (operacji fizycznych) technologii chemicznej i środków spożywczych.

— Nie bardzo to jest jasne dla zwykłego śmiertelnika.

— Zaraz to zilustrujemy konkretnie. Np. teoria sedimentacji, rektyfikacji, absorpcji czy wymiany ciepła. To są konkretne zagadnienia, nad którymi pracujemy w Katedrze, a które znajdują zastosowanie niemal we wszystkich gałęziach przemysłu chemicznego i spożywczego. Znajomość inżynierii chemicznej jest pomocna, a nawet konieczna przy projektowaniu aparatury przemysłowej. Dzięki niej przemysł może wprowadzać bardziej nowoczesne metody produkcji. Np. przemysł spirytusowy może stosować najnowsze metody rektyfikacji, przemysł cukrowniczy — postępowe metody filtracji, piwowarski — najnowsze rozwiązania w zakresie wymienników ciepła itp.

— Badania prowadzone przez pracowników naszej Katedry mogą znaleźć zastosowanie nie tylko zresztą w przemyśle spożywczym ale i w in-

Wypadki przy pracy stanowią odrębny rozdział w praktyce prokuratora. Poza nieostrożnością samych poszkodowanych w ogromnej większości mamy tu do czynienia z nieprzestrzeganiem przepisów bhp, lekceważeniem podstawowych zasad bezpieczeństwa pracy, brakiem opieki za strony tych, na których spoczywa odpowiedzialność za zdrowie i życie ludzi. W grupie tej występuje odrębna kategoria przestępstw, których cechą wspólną jest najczęściej to, że dopuszczają się czynów nieumyślnie. Potem zwykłe żalują i wyrzucają sobie włosy z głowy. Nie mogą tym jednak wskrzesić zmarłych, nie mogą przywrócić zdrowia okaleczonym. Oto jedna z wielu spraw tego typu.

Walenty Calka 1), lat 26, z zawodu stolarz maszynowy, o wykształceniu 4 oddziały szkoły podstawowej, pochodzenia społecznego robotniczego, mający dwoje dzieci w wieku 5 i 7 lat, bez majątku, niekarany, od wielu lat pracował w Wytwórni Sprzętu Sportowego w Łodzi. Obsługiwał przeważnie frezarki, a zwłaszcza frezarki dołnowrzecionowe o długim trzpieniu. Ze względu na bezpieczeństwo pracy, w takich frezarkach musi być stosowane zawsze ramie wspornikowe. Frezarka dołnowrzecionowa wykonuje do 6.000 obrotów na minutę i oczywiście urwanie się trzpienia przy takiej szybkości może spowodować nieszczęście. Stosowanie ramienia wspornikowego całkowicie zabezpiecza maszynę przed wypadkiem.

Calka cieszył się doskonałą opinią wśród fachowców. Kilkakrotnie był brzdękami i do obowiązków jego należało m. in. instruowanie i kontrolowanie robotników w zakresie bhp. Ukończył specjalny kurs bhp i wszystkie obowiązujące przepisy przy pracy na frezarkach, były mu znane.

W dniu 28 września 1989 r. Walenty Calka pracował przy swojej frezarce, obrabiając płoty do sanek. Około godz. 14 mistrz działu maszynowni Zbigniew Głowacki polecił Calkowi przerwać produkcję płotów i przystąpić do obróbki amortyzatorów do odskoczni. W związku z tym powstała konieczność zmiany przyrządzenia frezarki, polegająca na wymianie noża frezarki oraz zamianie trzpienia krótkiego na trzpień długi — 40 centymetrowy. Przystępując do oprządkowania frezarki, Calka, jak to czynił zawsze, przysiadł również do załączenia ramienia wspornikowego, służącego do zamocowania górnej części trzpienia i zabezpieczającego go przed skrzywieniem lub urwaniem podczas uruchamiania frezarki.

Po załączeniu i dokręceniu trzpienia długiego z głowicą nową i 4 pierścieniami dystansowymi, nie zakładając ramienia wspierającego, Calka uruchomił frezarkę, włączając ją na największą szybkość tj. na 6.000 obrotów na minutę. Calka chciał w ten sposób sprawdzić, czy trzpień jest prosto załączony. W tym momencie trzpień nie posiadający ramienia wspierającego, na skutek działania siły odśrodkowej, ułamał się na poziomie płaszczyzny stołu, tuż pod osadzeniem słowicy nożowej i odbił się od stołu poleciał w głąb pomieszczenia maszynowni.

W odległości ok. 10 metrów pracował na wyrownarce Władysław Palczak. Rozpadający się w powietrze trzpień trafił go w głowę, odbił się zmieniając kierunek, poleciał w bok, w odległości trzech metrów uderzył w wózek z drzewem znajdujący się już za Palczakiem, jeszcze raz odbił się i spadając z wózka, wciąż jeszcze z dużą

siłą, trafił w głowę Joannę Leszcz, która pracowała przy stole tarczowej. Na skutek uderzenia Władysław Palczak doznał złamania kości podstawy czaszki i pokrywy czaszki, wylewów pod- i śródmózgowych oraz do jędr podstawy mózgu, rozzerwania opony twardej i opon miękkich. Obrażenia te spowodowały jego śmierć.

Joanna Leszcz doznała rany prawej okolicy czołowej.

Po przesłuchaniu świadków, przeprowadzeniu wywiadów co do opinii i karalności podejrzanego, otrzymaniu protokołu komisji badającej przyczyny wypadku, zbadań materiałów dochodzeniowych

Siedział przed moim biurkiem w rybozrybie, granatowym kombi, wozie. Pożyczył na nim jeszcze tu i ówdzie drobne opłatki „rzewa”, może właśnie opłakiwał tych płotów do sanek, nad którymi ostatnio pracował. Zdawało mi się nawet, że wydziela z siebie ten przyjemny zapach który jest charakterystyczny dla ludzi pracujących przy drzewie: stolarzy, drwali, flezaków — zapach żywicy, świeżych wiórów sosnowych i trocin.

— Tak — powiedział półgłosem — moja wina jest wielka i kara musi być wielka. Zabijem człowieka... przyjaciela... poraniłem młodą

— Nie wiem — szepnął. — Nie, to niemożliwe — przeczytałem. — Prawdziwy człowiek — uczciwy i silny, nie może zasłaniać się jakimś tam „nie wiem”. Tylko dziecko może nie wiedzieć lub wariat nieodpowiedzialny za swoje czyny. Nie jesteś dzieckiem ani wariatem.

— Tego dnia nie bardzo do- brze czułem się — wyjaśniał.

— Coś mi dolegało.

— Może byliście pod gazem lub piłącie dnia poprzednie- go? — zapytałem mimochodem.

— Nie — odrzekł — piję bardzo mało i rzadko. Jak się ma na głowie taką rodzinę jak ja: żona, babka, dwoje dzieci i ja piątą — trzeba to odziać i nakarmić, to o wódce już się nie myśli, myśli się o kawałku chleba. Jak się urwał ten szpikulec — mówił od głowy. Dlaczego mnie nie trafił, tylko biednego Wład- ka?

Spoglądał na mnie niepewnie i pytająco.

— Hm — mruknąłem — tym się nie będziemy zajmowali. Nie będziemy badali praw przypadku, bo się na tym nie znamy.

— Tak — odrzekł — to się nazywa zły los albo przeznaczenie, ale też nikt nie wie, co to jest...

— Proszę nie filozofować — przerwałem mu — tylko mówić o wypadku.

— Tak więc — zaczął — byłem zmartwiony, bo to był koniec miesiąca i już pieniądze nie wystarczały na utrzymanie... a dzieci nie pytają, trzeba im dać jeść co dzień. Śniadanie zjadłem marnie, tylko kawałek chleba z mlekiem. Bolała mnie głowa. Mogłbym pożyć kilka gro- szy, ale nie lubię pożyczać, bo zaraz się robi dziura i nie wiadomo z czego oddawać.

Gdyby chociaż żona pracowała, to miałbym pomoc, ale żona jest chora... Sam muszę myśleć o wszystkim, a wiadomo jak to jest, gdy nie ma kobiecej głowy i ręki przy gospodarstwie. Byłem więc cały skołowany... Gdy majster kazał przerzucić się z płotu na te amortyzatory, to właściwie nie wiedziałem, co mam robić, ale wszystko, jak należy wypełniałem automa- tycznie, bo już piętnaście lat pracuję przy tych obrabiar- kach i mogę przy nich pracować nawet w nocy, po ciemku i chyba nawet śpiąc.

Milczał chwilę. Nie przerywałem mu.

— Jak to więc ja, stary robotnik, doświadczony stolarz maszynowy, instruktor bhp, mogłem nie zabezpieczyć ma- szyny? Właśnie tego dobrze nie wiem. To mi się przecież zdarzyło pierwszy raz w życiu i pewnie ostatni. Coś na mnie naślazło, coś mnie zamro- czyło, coś mnie opętało. Czy ja wiem? Nie pamiętam tego dobrze, nie, żebym nie wiedział co czynię, albo zapomniał, nie pamiętałem co należy robić. Wbrew przecieży rozsądkowi tak postąpiłem.

Milczał.

— Jesteście doświadczonym fachowcem — ciągnąłem dalej. — Pracowaliście dużo lat przy frezarkach. Bywaliście nieraz przewodni- kiem pracy, brzdękami, in- struktorem robotników. Uko-ńczyliście specjalny kurs bhp. Zналиście te maszyny jak własną kieszeń, czemu więc dopuściliście do tak wielkie- go zaniedbania?

— Tak — odrzekłem — moż- na było. Spodziewać się moż- na zawsze, gdy człowiek po- stępuje źle, omija słuszne i sto razy sprawdzone prze- pisy.

Dalszy ciąg 4 na str. 4

Z notatnika prokuratora

tragiczny bumerang

Technicznej Inspekcji Pracy, zapoznaniu się ze sprawozda- niem Inspektora Pracy i wy- nikami badania wrzeczona fre- zarka, oskarżyłem Walentego Calka z art. 230 § 1 KK w zw. z art. 36 KK 2).

Walenty Calka przyznał się w pełni do zarzucanego mu czynu i złożył zeznanie zgod- ne z materiałem dowodowym.

W związku z powyższym, mając na względzie bardzo dobrą opinię oskarżonego i fakt, że ma na swej wyłącz- nej opiece dwoje małoletnich dzieci oraz chora psychicznie żona, a dotychczas nie był karany i posiada stałe miej- sce zamieszkania, nie zastoso- wałem aresztu tymczasowego wobec Walentego Calka.

Oskarżony — człowiek ucz- ciwy i przyzwyczajony, był zupeł- nie zlamany tym strasznym wypadkiem. Swojego dobrego kole- gę, z którym spotykał się co dzień i pracował od tylu lat, Palczaka, który tak samo jak i on, posiadał żonę i ma- le dzieci, młodą i przystojną Joannę Leszcz ciężko pokale- czył. Jak lekarze twierdzą ży- ciu jej nie zagraża niebezpie- czeństwo, ale oszczędna po- zostanie zapewne na zawsze — wielkiej blizny na czole nie da się usunąć.

dziewczyne...

Schwycił się rękami za głowę.

— Oj, mój Boże, mój Boże, mój Boże! — jęczał.

Nie przeszkadzałem mu. Rozpacz jest czasami uczu- ciem pozytywnym — karze człowieka i oczyszcza lepiej, niż to może uczynić inna ka- ra. Nie ulega wątpliwości, że Walenty Calka ciężko zawinił.

— Będę teraz siedział w kryminalu — mruknął ponu- ro. — To mi się słuszenie na- leży. Nawet i dwadzieścia lat za mało za taką zbrodnię. Mój Boże, zasłużyłem sobie! Co ja narobiłem?! — jęknął ponownie. — Czy można się było spodziewać?!

— Tak — odrzekłem — moż- na było. Spodziewać się moż- na zawsze, gdy człowiek po- stępuje źle, omija słuszne i sto razy sprawdzone prze- pisy.

nych dziedzinach przemysło- wych, np. w petrochemii, wielkiej syntezie, przy pro- dukcji kauczuku syntetycz- nego, barwników itp. Prace nasze są wykorzystywane w biurach projektowych i kon- strukcyjnych oraz przez in- żynierów zatrudnionych bez- pośrednio w produkcji w ce- lu budowy jak najbardziej sprawnej aparatury prze- mysłowej względnie w celu optymalnego przeprowadze- nia konkretnych procesów produkcyjnych. Gdyby nie było szerokiego badań w za- kresie inżynierii chemicznej musielibyśmy wiele apar-atów i urządzeń sprowadzać z zagranicy. Nasze krajowe badania umożliwiają oryginalne i współczesne opaco- wania rozwiązań projekto- wych i konstrukcyjnych.

— Obawiam się, że więk- szość tych spraw, z którymi Pan Profesor nas zapoznał, jest nieznaną ogółowi społe- czeństwa, w związku z tym można mówić chyba o niedo- cenianiu tej tak bliskiej lud- ziom gałęzi nauki?

— Trafia Pani w samo sedno. Owa nieznalomość czy

brak zainteresowania tymi problemami wynika stąd, że inżynieria chemiczna jest na- uką, która do programów studiów trafia dopiero po- ostatniej wojnie i dlatego mamy w kraju bardzo nie- liczną jeszcze kadrę nauko- wą wyspecjalizowaną w tym zakresie. Stąd i mała jej po- pularność.

— Jakże są perspektywy Wydziału Chemii Spożyw- czej?

— W najbliższym czasie powołujemy do życia trzy dalsze katedry: biochemii przemysłowej (procesy che- miczne zachodzące w tkan- kach roślinnych i zwierzę- cych stanowiących surowiec dla przemysłu), chemii fizycz- nej i koloidów i wreszcie ka- tedrę chemii analitycznej, która kształcić będzie specja- listów szczególnie w zakresie analizy środków spożyw- czych. Warto przypomnieć, iż Wydział nasz związany jest dość ściśle z PAN. Czterech naszych profesorów jest członkami Komitetu Techno- logii i Chemii Żywności PAN. Prof. dr Masior jest przewodniczącym Rady Na-

ukowej Instytutu Przemysłu Fermentacyjnego, a prof. dr Zagrodzki przewodniczącym Rady Naukowej przy Mini- strze Przem. Spoż. i Skupu. Współpracujemy też z szere- giem Instytutów Badawczych podległych Ministerstwu Przemysłu Spożywczego i Skupu.

— A najbliższe plany Ka- tedry Inżynierii Chemicznej?

— Będziemy kontynuować i rozszerzać nasze prace w zakresie kształcenia specja- listów inżynierii chemicznej. W tym roku Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego powo- lało na Politechnice Łódzkiej nowy kierunek specjalistycz- ny z dziedziny inżynierii che- micznej. Przyszli absolwen- ci tego kierunku pójdą do biur konstrukcyjnych i pro- jektowych, będą wartości- wymi projektantami apar-atury i urządzeń dla przemys-łu spożywczego i chemiczne- go i będą się przyczyniać do wdrażania badań labo- ratoryjnych do produkcji prze- mysłowej.

— I na zakończenie pyta- nie, z którym zwracamy się do wszystkich przedstawicie-

li nauk technicznych. Jaki- mi cechami umysłu i charak- teru winien wyróżniać się kandydat na wyższe studia techniczne? W tym wypadku student inżynierii chemicz- nej?

— Musi mieć zamiłowanie do matematyki i fizyki, a więc zamilowanie do nauk technicznych. W naszej zaś specjalności potrzebna jest również zdolność do projek- towania i budowy nowych rozwiązań aparaturowych.

— Co Pan Profesor bar- dziej ceni u swych słucha- czy: pracowitość czy talent?

— W życiu decyduje rze- telną pracę. W naszych stu- diach systematyczność w o- panowywaniu wiedzy gra nie mniejszą rolę niż uzdol- nienia. Student nawet bardzo zdolny, ale niedoceniający nauki i pracy niewiele może mieć szans na zrobienie ka- rier w naszym zawodzie. Cenię młodych ludzi z talen- tem, ale chciałbym, aby pa- miętali, że sam talent bez rzetelnej pracy, to naprawdę nie wszystko.

Rozm. K. WYRZYKOWSKA

Po co ten film?

Jeszcze do niedawna nasz repertuar filmowy uchodził za najlepszy w Europie. Nie sprawdził się. Wierzyliśmy na słowo Centrali Wynajmu Filmów i innym kompetentnym czynnikom. W chwili obecnej jednak ten repertuar zaczyna budzić coraz większe wątpliwości, a już całokształt chyba nieporozumieniem wydaje się fakt wyświetlania na polskich ekranach angielskiego filmu pod obiecującym tytułem „Garaż śmierci”. Jakimi kryteriami kierowano się przy zakupie tego „dzieła”? Czyżby chęcią dostarczenia spragnionemu widzowi dwóch godzin „kulturalnej i godziwej” rozrywki? Zaisie nieodgadnione są motywy powodujące decyzjami najwyższych czynników od zakupu filmów. Dlaczego nie oglądamy na polskich ekranach dzieł największego dziś reżysera filmowego Antonioniego? Dlaczego takie opory stawiano buroelowskiej „Viridianie” a zakupiono dla klubów filmowych najwinnutki i slabiutki film „Stacja końcowa miłości”? Właśnie dlaczego? To pytanie można by powtarzać dziesiątki razy. Dlaczego na przykład usuwa się tzw. drastyczne sceny z filmów o niewątpliwych wartościach artystycznych, a natomiast wyświetla się na naszych ekranach film ze sztuką nie mający nic wspólnego, ale natomiast bardzo wiele z psychopatologią?

Wracam do sprawy „Garażu śmierci”. Nie jest to bowiem taki zwykły sobie film kryminalny „trzymający widza w napięciu i zawierający kilka mocnych scen” jak to ochocho anonsowała nasza prasa. „Garaż śmierci” jakos nieodparcie kojarzy się z głosem teza Cafa-Mackiewicz, a że Angliści są narodem sadystów i lubują się w sadyz-

mie. Scenarzyście i reżyserowi nie brakowało inwencji w wymyśleniu coraz to nowych form znęcania się bohatera (tego wprowadzie negatywnego!) nad swoim otoczeniem. Ow negatywny bohater jest tzw. mocnym człowiekiem, w przeciwieństwie do pozytywnego, który jest przysłówowym mięczakiem, co mu oczywiście wszyscy mają za złe. Mocny człowiek nie jest zwykłym, jak to zwykle bywa przestępcą, ale niezwyčajnym psychopata i sadystą. Znęca się nieustannie i to w sposób perfidny nad pozostałymi postaciami filmu: nad chłopcem, bezbronnym staruszką, nad młodą dziewczyną (sadyzm erotyczny!) Nie będziemy wyliczali całego mnóstwa scen budzących obrzydzenie i niesmak. Dodajmy tylko, że nawet dwie bójkę przydane zapewne dla okraszy tego budującego dzieła odbiegają daleko od normalnie przyjętych konwencji pokazywania tego rodzaju scen. Trudno tu mówić o bójkę, chyba raczej o masakrowaniu się przeciwników.

Film dzięki specyficznym warunkom percepcji (absolutne zaangażowanie emocjonalne widza) spełniać może funkcje katartryczne. Wyzwala człowieka od nagromadzonych w nim kompleksów, niewyżytych instynktów, zahamowań. Utożsamiając się emocjonalnie z bohaterem filmu widz ma możność pełnego „wyżycia się”. I potem grzeczny i pozbawiony już złych ciagotek wraca spokojnie do domu. Jeśli zawierzyć Mackiewiczowi, że Angliści są rzeczywiście narodem sadystów, to „Garaż śmierci” jest dla nich zapewne filmem wysoce społecznie użytecznym. Natomiast u nas sprawa przedstawia się nieco inaczej. Obawiam się, że

skutki oddziaływania tego filmu mogą być niewłaściwe. Albowiem oczyszczająca rola filmów jest bardzo dwuznaczna. „Garaż śmierci” zgodnie czy też niezgodnie z intencją mi twórców jest apologią brutalnej siły, apologią mocnych ludzi terroryzujących „słabsze” otoczenie. „Garaż śmierci” zawiera cały szereg scen oddziaływających wybitnie szkodliwie na psychikę widza zwłaszcza młodego. Nie ma nic bardziej szokującego i niemoralnego zarazem niż psychiczne i fizyczne znęcanie się człowieka nad człowiekiem.



Z filmu „Blues”

Czarno - biały „BLUES”

„SE-MA-FOR” czyli Studio Małych Form Filmowych w Łodzi zwiększa w ostatnim czasie swoją produkcję nie tylko ilościowo. Obok rzecz już można „tradycyjnej” produkcji filmów animowanych-lalkowych, coraz częściej realizuje też krótkie filmy fabularne jak znana już „Przejażdżka”. Nasfetera czy żarty filmowe „Saki” Polańskiego lub ciekawe impresje filmowe — wzruszający „Cmentarz Remu” Etlera. Impresja to być może za duże słowo, aby nim określić „BLUES”, zrealizowany przez absolwentów Łódzkiej Szkoły Filmowej — Romualda Staszkiewicza i Tadeusza

Wieżana. Ich „Blues” wg własnego pomysłu, jest lirycznym utworem o białej dziewczynie i czarnym chłopaku. Jego nie widać w ciemnościach nocy, dziewczyna widzi jedynie trąbkę, na której on gra.

W zimowy, biały dzień, czarny chłopak nie może dostrzec dziewczyny ubranej w białe futro. Dopiero pozbycie się tej ciężkiej, choć przydatnej w zimie osłony, pozwala odnaleźć się młodym.

Prosta i na pozór nawet banalna fabuła filmu Staszkiewicza i Wieżana nie jest żadną filozofującą opowieścią, owiną została jednak na pewno zajmującą, niewydu-

maną odrobiną poezji. Poezji przekazanej w znakomitych, bardzo kontrastowych, czarno-białych zdjęciach. Na ekranie dominuje niepodzielnie czern i biel. Każdy kadr z tego filmu może być interesującym samym w sobie fotogramem. Obok zdjęć zasadniczym tworzywem tego filmu jest blues napisany przez Andrzeja Kurylewicza i przez jego zespół wykonany. Tańcza bluesa i szukają się w czerni i bieli — zgrabna Barbara Lewandowska i czarny gość z Ghany — Edmund BA. Tettech.

Jednoaktowy film Staszkiewicza i Wieżana zajmie w ciągu kwadransa każdego widza, jeżeli może nie swoim liryzmem, to interesującą formą lub ciekawym dla ucha jazzem. Produkcji tego gatunku krótkich filmów będących ciekawymi zarazem próbami formalnymi, warto przyklasnąć i dać miejsce na ekranach, tak trudne do wyłączenia dla filmu krótkometrażowego w ogóle.

A. N.



Gina Lollobrigida jako blondynka w filmie „Piękność Hipolity”

W kinach w najbliższym czasie w dalszym ciągu repertuar będzie bez określonego wyrazu a używając terminologii popularnego Wicherka — będzie jak pogoda bez większych zmian. Poza szturmem na kasy jaki wywieda być może zapowiadany już super-film Todda „80 dni dookoła świata” nierz podjętany choć nie chciałby być złym prorokiem dla CWF nie przetrwa większość szturmu do kin na pozostałe filmy bieżącego repertuaru. W najlepszym wypadku przewiduje frekwencję umiarkowaną na filmie „FRANCUSKA I MIŁOŚĆ” złożonym z siedmiu nowel.

Jak na jeden film fabularny to ilość nieco przerażająca pomimo reklamy, którą dwa lata temu zrobiono wokół ankiet. Francuskiego magazynu „Elle”. Ankietę dotyczyła poglądów Francuzek na współczesne życie — na daleczność, dziewczęta, małżeństwo, samotność. Fragmenty i omówienia tej ankiety drukowały bez mała wszystkie polskie tygodniki z „Przekrojem” i chyba „Odgłosami” włącznie. Rzecze niewątpliwie, że film ten a właściwie jego kolejne nowele są bardzo nierówne artystycznie — od uroczej francuskiej pianterii i błyskotliwych do bardzo wymyślnych sytuacji zaprawionych, ciekawym, sentymentalnym sosem znanym już z bardzo porządnych melodramatów. Wiele cech tych ostatnich wywołują bardzo stare dwie nowele, które reżyserowali:

Boisrond i Verneuil — „Niewinność” i „Złota”. Tragedyjna i przebiegła jest niestety nowela napisana i zrealizowana przez René Claira „Molochstwo” — bardzo szablonoowa w treści i formie filmowej.

Nie odbiega od tego samego poziomu „Kobieta sama” Jean-Paula Le Chanoisa. Wdziękier i dawciem blizny czy za to Christiana Jacquessa „Rozwód”, który zrealizowany został wg scenariusza Charlesa Spaolca. Jak w wielu filmowych składankach

Marais, pod warstwą miedzi i ludem „SERCE I KZPADA”. Łatwo jest wybrzydzać na coś bardzo kiepskiego i tak tandetnego pod względem artystycznym jak gierki podstarzałego już antania wysługującego się dublerami. Tym niemniej nie wolno stosować ulgowej taryfy, jak to np. czyni popularny recenzent uroczej „Muzyki i aktualności”. Są bowiem filmy z prawdziwego zdarzenia kostiumowe i przygodowe jak chociażby niezapomniany „Fanfan Tulipan”. Sądze, że

reszta nagromadzonych już kłód namietności i instynktami jest poszczególne epizody budzą czasami wiele krytycznych uwag, jednak dramat człowieka jako okład Fabrice jest dobrze osadzony w realnej współczesnej wsi. „Bestie” warto polecić pomimo pozornie małej atrakcyjności tematu.

Niniejszy felieton omawiający bardzo skróto i subiektywnie niektóre filmy repertuaru maja i czerwca, można nazwać „remisowym” w stawianych cenzurkach. Oto inny węgierski film sławności i niepotrzebna przeciwwaga ambitnego filmu, o którym wcześniej była mowa „JAK SIĘ MŁODY NOSZTY ZENIL” jest już w tytule czynna mało strawnym, jeszcze gorzej kiedy go się ogląda. Film ten zawiera chyba wszystkie błędy, jakie popołoniono realizując adaptację powieści społeczno-obyczajowej. Taką też zapewne jest powieść Kalmara Miksaiaha „Jak się młody Noszty zenil z Marią Toth”. Ponieważ aby nie być posadzonym o absolutne malikontenstwo w tym felietonie, wypada więc zakazać swoje narzekania. Może za tydzień lub dwa będzie nas czekało trochę więcej dobrych i ciekawych filmów?

ALEKSANDER NIESMIAŁEK

Co nas czeka?

tak i tutaj obok nazwisk wielkich reżyserów producent zapewnił sobie znane nazwiska aktorów i aktorek: Martine Carol, Dani Robin, Jean-Paul Belmondo, Francois Periera i innych oglądanych w całym szeregu filmów francuskich.

Pa tym może zbyt ostrym patrakowaniem „Francuska i miłość” kolę na nieco inny film produkcji francuskiej choć na pewno a wiele bardziej irytujący swą szmrowatostą i po prostu głupotą. Jest to, któryś z kolei „wyczynowy” film „wiecznego samotnika” czy „zardzewiałego żyłca”, jak go nazywają wielbiciele (!) — Jean

dalej należy uniknąć „dzieł” gdzie Jean Marais będzie zgrzytał z siebie i z widzów chachy w najszybszym tempie i na barwnym, panoramicznym ekranie.

Trudna tematyka wiejską podejmują o wiele częściej niż my — filmowcy węgierscy. Tym razem warto wspomnieć o „BESTII” Zoltana Fabricego autora udanego „Profesora Hannibala” i „Karuzeli miłości”. Ten ostatni film uznano swego czasu za jedną z lepszych pozycji w filmografii Fabricego, właśnie dzięki podejmowanemu problemom środowiska wiejskiego. Tragiczna historia Sandora w „Bestii” zaję-

Janke spotkałam w szkole, na balu dla absolwentów. Nie kochałam nadto szkoły, ale poszłam, bo była to jedyna okazja zobaczenia w czołach naszej starej klasy.

Od matury minęły już trzy lata. Dla młodych to dużo, mogą się bardzo zmienić. Ciekawe jest więc ich spotkanie, pogadanie, dowiedzieć się, co robią, co myślą, jak się w życiu poruszają?

Janka miała zawsze szerokie zainteresowania. Chodziła na koncerty do Filharmonii i na kurs samochodowy. Pasjonowała się Statfem. Potrafiła długo i wnikliwie rozprawiać na temat każdego obejrzanego filmu. Zresztą lubiła ją nie tylko za nasze dyskusje. Była bardzo wesoła i obrotowa. Optymistka, a tacy ludzie kojąco działają na bliznich.

Szykowałam się na dłuższą i wesołą pogawędkę. Ale Janka była już inna niż dawniej, przygaszona, „zdechła” — jak mawialiśmy w szkole. Gdy sorytałam, co robi, skrzywiła się i powiedziała: „pracuję”.

Spotkałyśmy się następnego dnia. Nadal nie poznawałam dawnej Janki. Nie mogłam jej wyciągnąć na żadną poważniejszą rozmowę, choć próbowałam mówić o różnych sprawach — o książkach, filmie, filharmonii. Wreszcie nie wytrzymałam:

— Słuchaj co się z tobą stało?

— „Pracuję” — odpowiedziała. — Jestem urzędniczką. Nie studentką i nie uczennicą, ale urzędniczką.

— No więc, co z tego? Była oburzona.

— Pamiętasz, chyba jeszcze szkołę? Każdy coś czytał, każdy się czymś interesował. Byli lepsi i gorsi, ale nawet Marysia, której nigdy nie uważałam za orla, czytała od czasu do czasu Hemingwaya i umiała coś o nim powiedzieć. Było z kim pogadać o tym, co się nowego przeczytało, czy zobaczyło. Można było z „Wierzbą” (nasza polonistka) podyskutować na polskim albo na godzinie wychowawczej. A ostatecznie na temat sztuk oglądanych w teatrze! I w czwórki z quizami! A teraz co?

Janka pracuje w pokoju z trzema paniami, które od samego rana opowiadają o swych rodzinnych kłopotach. Potem komentują poranną prasę pod kątem — „a wie pani, ten co zabił żonę, to podobno ją spotkał z kochankiem we własnym łóżku” i — „co to będzie, jajka znowu podrożały!” Jeśli pracy jest niewiele, snują jeszcze hipotezy — ile też mogły kosztować nowe buty sekretarki, a potem narzekają, że herbata na śniadanie znowu jest zimna i mało słodka. I tak przez cały czas. Innych zainteresowań nie mają. Nie myślę chyba, że słuchając przez 8 godzin tych bzdur, Janka ma jeszcze ochotę na coś innego.

Zresztą, żeby nie patrzyły na nią niechętnie, musi z nimi rozmawiać o czymśś butach lub sukni. Janka głupieje. Doskonale wie, że głupieje. Ale co może na to poradzić? Od czasu do

czasu idzie jeszcze na jakiś odczyt, czyta trochę, ale bardzo chaotycznie — jeśli zobaczy jakąś recenzję, czy usłyszy, że to dobre. W szkole „Wierzbą” potrafiła pokierować naszymi zainteresowaniami mówiła co war to znać, co można sobie darować. A teraz „Wierzbę” nie ma.

Z Marysią spotkałam się w kawiarni. Właściwie nie wiem dlaczego się z nią umówiłam. Ndy nie łączyły nas bliższe koleżeńskie stosunki. Marysia była zawsze cicha, mało aktywna. Indywidualnością nigdy się nie odznaczała, do najzdolniejszych nie należała, ale — pra cowała i grzeczna — cieszyła się sympatią nauczycieli. Zresztą w klasie też była lubiana, zawsze podawała „ściągę” i dzieliła się śniadaniem. Dość ładna, ciągle interesowała się jakimś chłopcem, przeważnie dużo starszym, takim z dobrą mie sieczną pensją i poważnymi zamiarami i przeżywała co jakiś czas nową, bardzo romantyczną miłość.

Teraz też. Jeszcze nie uśladaliśmy przy stołku, gdy zaczęła mi opowiadać o swej aktualnej miłości. Zygmunta zna już trzy miesiące. Chce wyjść za nią. On jej właściwie o tym jeszcze nie mówił, ale jeśli się do świąt nie zdeklaruje, to ona z nim zerwie. Nie myśli chodzić na próżno. Czemu tak się spieszy? Chce wyjść z domu, chce mieć własne mieszkanie, nie chce pracować, nie chce słyszeć od matki docinków, że ma już 21 lat i niedługo zostanie starą panną, bo widocznie nikt jej nie chce. Poza tym z meżatkami wszyscy bardziej się leczą. No i nie potrzeba się martwić, że w sobotę nie ma z kim pójść do kina, a na zabawie będzie się stało pod ścianą.

O tym, że wraz z małżeństwem zaczynają się kłopoty materialne, że mieszkanie prawdopodobnie tak przedko nie dostanie, a jak przyjdzie dzieci, jej świat będzie się ograniczał do prania pluszek i karmienia, nie myśli. Zna ją się krótko? — Nie szkodzi! Jeśli małżeństwo będzie niedobre, to się najwyżej rozjeżdżą. Rozwódka to zupełnie co innego, niż stara panna.

Co robi przez cały dzień? — Osiem godzin pracuję. Jeśli Zygmunta do niej zadzwoni, albo przyjdzie do biuro, umawia się z nim. Potem idzie do domu na obiad. Przespłi się trochę. Wczorajem wędruje z Zygmuntem do kina, albo do kawiarni. W sobotę tańczy. Na jakim ostatnio była filmie?

— „Nóż w wodzie” prosię ciebie. Był ładny jacht, a oni byli fajnie poubranani.

Film poruszał problem kabotyństwa, ale Marysia chyba nie wie nawet, co to kabotyń.

Do teatru nie chodzi — bilety za drogie — powiedła. Zresztą, co teraz za sztuki grają? Była kiedyś na „Obronie Sokratesa”, bo dawali bilety w Alre. Przez cały czas jeden facet stał na sce-

nie i gadał nie wiadomo o czym. Dekoracji prawie nie było, nie się nie działo... Straszna chała! Zygmunto wi też się nie podobało. Już lepsza była „Kobieta w trudnej sytuacji”.

W dwa dni potem byłam u Agaty w domu. Zastalłam ją przy telewizorze. Wyglądała bardzo ładnie. Była starannie uczesana. Miała sukienkę z dzianiny i pantofle na modnych obcasach.

Na stole leżała otwarta książka. Podeszłam. „Czarodziejska góra” — T. Manna. Na bibliotece stały wiersze Danuty Kaczyńskiej. „Ty to czytasz?” — spytałam mile zdziwiona. Odpowiedziała, że

CZESŁAWA DURAJ

„NIE MATURA, lecz chęć szczerą“...

tak i, że bardzo jej się ta poezja podoba. Dlaczego? Tego nie potrafiła powiedzieć. Z dalszej rozmowy zdołałam wywnioskować, że Manna czyta, owszem, ale tylko te fragmenty, gdzie jest akcja. Prawdopodobnie wcale nie jest książką zachwycona, lecz przecież nie wypada nie znać „Czarodziejskiej góry”. Kaczyńska też usiłuje czytać — bo to jest nowoczesna poezja. A ona uważa się za nowoczesną dziewczynę.

Agata przyznała, że nie bardzo ma czas na czytanie, pracuje w punkcie kosmetycznym jako kasjerka. Jest zajęta od godziny 11 do 19. Wczorajem zawsze się z kimś umawia na kawę. Wraca późno, spi jak susel.

Rozmowa zaczynała się rwać. Wobec tego gospodyni postanowiła uraczyć mnie pociągami. Piórtorej godziny opowiadała, kto z kim chodził, kto się z kim pokłócił, kto co powiedział. Potem pokazywała mi swoje sukienki. Z zawiścią przyznawałam, że są śliczne. Zastanawiałam się, skąd bierze na nie pieniądze? Wkrótce ona sama rozpoznała moje wątpliwości. Jej pensja wynosi 1000 zł. Drugie tyle ma na lewo, bo kosmetyczki, jeśli chcą zarobić na klientach, muszą się z nią dzielić. W domu pieniędzy od niej nie chcą, więc starczy i na sukienki, i na „Spatif” czy „Tivoli”.

Miałam dość. Kiedy wychodziłam, Agata powiedziała mi jeszcze, że niedawno odrzuciła oświadczyny jednego ze swych adoratorów. Mamie się bardzo podobał. Był przystojny, ładnie się ubierał, miał mieszkanie w Warszawie i własny wóz. Ale ona nie ma zamiaru na razie wychodzić za mąż. Po co? Tak jej dobrze. Nie ma żadnych kłopotów. Chce się jeszcze trochę po-

bawić. Kandydata na męża znajdzie i za pięć lat też.

Dziewczyny zawiodły. Ale przecież zostali jeszcze chłopcy. Może oni żyją bardziej sensownie? Może przynajmniej w ich wypadku trud „Wierzbę” starającej się nas z takim zapalem ukulturalnić, nie poszedł na marne?

Na pierwszy ogień poszedł Leszek, zupełnie zresztą przypadkowo. Przechodziłam koło „Milusi”, kiedy zawołał mnie po imieniu.

Przy szatni Leszek poinformował mnie tajemniczym szeptem, że siedzi z kolegami, mają pod stolikiem własny, żeby tylko nie zrobiła głupiej miny, bo się keiner-

kał się z dziewczyną. Czytał dużo. Zna wszystkie pozycje Faulknera, Dürrenmatta, Remarque’a. Nie można ciągle czytać. Teraz przynajmniej, jak mu się to znuży, może przyjsć tutaj. Zawsze spotka kogoś znajomego. Czasami koledzy zorganizują jakąś „chatę”. Ze studiów nie zrezygnował. Będzie zdawał w tym roku. Już zaczął się uczyć. Musi zdać. Wtedy na pewno wszystko się zmieni.

Zyczałam Leszkowi, żeby w tym roku zdołał zrealizować swe plany. Wydawało mi się to jednak mało prawdopodobne. Do egzaminów zostało niewiele czasu. Przez trzy lata prawie nic nie robił. Na pewno zapomniał wiele z tego, co wiedział w

szkole. Czy potrafi nadrobić braki?

Postanowiłam odwiedzić jeszcze Adama. Chłopak był zdolny. Wprawdzie o studiach nigdy nie myślał, ponieważ chciał przedko zarabiać dużo pieniędzy, ale za to grał na trąbce i dobrze zapowiadał się jako oszczepnik. W X klasie wygrał nawet mistrzostwa juniorów. Co teraz robi?

Po maturze stanął przed nie lada problemem. Miał w perspektywie dwa puste lata przed wojskiem, które trzeba jakoś spędzić. Zniósł się nie warto, bo i tak wezmą do wojska — myślał. Szukać stałej pracy też nie warto. Zaczął pracować jako zastępca kierownika kotłowni w jednym z łódzkich zakładów. Początkowo w każdą piątek spotykał się w „Milusi” z kolegami ze szkoły. Często dyskutowali, czasem coś wypili. Lecz w miarę upływu czasu kontakt zaczął słabnąć. Zaczęli mu się trafiać „lewe” zarobki. Właśnie za te pieniądze kupił sobie motor. Teraz kolegów prawie nie widuje. W pracy styka się z samymi robotnikami. W pierwszym okresie nie umiał znaleźć z nimi wspólnego języka, teraz się przyzwyczaił. Zresztą, chcąc żyć z nimi w dobrych stosunkach, (a komu zależy na roźnieniu sobie wrogów?), musi od czasu do czasu pójść na wódkę w ich towarzystwie i mówić o tym, co ich interesuje.

Na trąbkę już nie gra — nie ma czasu, żeby ćwiczyć. Czasami przypomina sobie, że był sportowcem, idzie na jakiś mecz lub trening, ale wyników nie ma, bo jest niesystematyczny i pije. Ma dziewczynę. Spotyka się z nią w soboty i niedziele. Wtedy idą gdzieś potańczyć. Musi mieć dziewczynę, bo w czerwcu idzie do wojska —

kto będzie do niego Hali? pisał?

Co będzie robił po ukończeniu służby? — nie wie. Prawdopodobnie poszuka jakiejś porządnej, dobrze płatnej pracy. Potem chyba się ożeni. Tylko najpierw musi mieć ładnie urządzone mieszkanie.

W szkole — wiadomo — byli profesorowie i oceny z poszczególnych przedmiotów były wywiadowki raz na kwartał, każdy musiał się uczyć.

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja po skończeniu szkoły, jeżeli maturzysta, pomijając już przyczyny, nie dostaje się na uczelnię. Teraz obowiązkiem staje się nie nauka lecz praca. Cóż wówczas dzieje się z młodymi ludźmi?

Jakie są ich szanse kulturalne, jakie są szanse, żeby nie zapomnieli tego, co przeżyli 11 lat z trudem wkładanym do głowy? Co oni w końcu umieją?

Ktoś powie, że największą szansą są ich dobre chęci. Na pewno. Tylko czasami dobrym chęciom trzeba warto dopomóc. Są w Łodzi dwie instytucje, w których pracuje szczególnie dużo młodych — PKO i PKP. Może więc warto byłoby przyjrzeć się ich sytuacji? Wiedzą przeważnie trochę więcej od pracowników starych, tych ze stażem. Piszą na ogół bezbłędnie „oryginały” i „horyzonty” (nie oryginalny i horyzont). Nie łatwiej szego niż spocząć na laurach. Tym bardziej, jeśli w zakładzie nie się nie dzieje. Jeśli cała jego działalność kulturalna (a przecież są na to fundusze!) ogranicza się do zorganizowania akademii z okazji rocznicy powstania PPR i od czasu do czasu — bardzo rzadko bilety na „Kwiat Hawai” czy „Nie igra się z miłością” (dopuszczalne jeszcze „Kobieta w trudnej sytuacji”, ale już broń Boże „Chwałebne zmartwychwstanie”).

„Trzy siostry” czy „Sprawa”. Jeśli dyrektor za swój jedyny w tym względzie obowiązek uważa poinformowanie pracowników, że „są dwie biblioteki techniczna i beletrystyczna i dobrze byłoby, gdyby tam zaglądali”.

Zaglądać więc do biblioteki — w której jest Zapolska, Konopnicka, Sienkiewicz i niewiele ponadto, chodzą na „Kwiat Hawai” i akademie. I nudzą się. Jeśli jest sobota, dziewczyny biegną na Bystrzycką, bo tam można potańczyć, a nie dają legitymacji studentek. Albo do GKO. Chłopcy robią nie — czasami też na Bystrzycką, czasami „porozmawiają” na mieście. I tak tydzień w tydzień. Można jeszcze pójść do kina, a potem w pracy, w przerwie na śniadanie podzielić się koleżankami wrażeniami z filmu. Po pierwszym można urządzić jakiś mały pijaństwo i ukraść nudzić



TRAGICZNY BUMERANG

(Dokończenie ze str. 2)

Rozsadek krzychał: „Uważaj”, ale ja nie... byłem twar dy i nieczuły jak kamień. Dlaczego?

— Oprzyrzadziłem więc frezarkę — mówił dalej — zamienieniem trzpieni krótki na długi, przyszykowałem do założenia ramie wspomnikowe, ale go czemuś nie założyłem. Teraz pan mnie pyta i wszyscy mnie pytają, i ja sam siebie pytam — czemu tego nie uczyniłem? Ani to nie był trud, ani to nie była przykreść, ani to cokolwiek

kosztowało. Zakładałem to ramie tydzień raz, lecz tego dnia nie założyłem.

I właśnie, zdaje mi się — ciągnął dalej — o niczym nie myślałem. Zamiast głowy miałem wielką, czarną dziurę. Pan prokurator powiada, że to było lekkowazenie, że to była lekkomyślność, że to było przeklecie, podle niedbalstwo. Zapewne tak było. Ktośkolwiek mnie osądza, ten ma rację, lecz kiedy ja powiadam „nie wiem”, też mam rację. Pan prokurator pozwolił, że coś jeszcze powiem?

— Proszę. — Kiedyś stałem na przystanku, zbliżył się tramwaj, pasażerowie wysiedli, osłaniała wywiadała jakąś kobieta w średnim wieku, gdy tramwaj już powoli ruszał. Wysiadła

i nie poszła przed siebie, tylko zawróciła w przestrzeń między jednym i drugim tramwajem. Na moich oczach obcięła jej nogę. Gdy ją pyta no dlaczego to uczyniła, czemu wlaża pod tramwaj — nie wiedziała. Ja też nie wiem.

— Więc nie ma żadnej obec nie gwarancji — powiedziałem — że gdy ponownie staniecie przy takiej maszynie lub przy jakiegokolwiek innej, lub nawet gdy cokolwiek będziecie w życiu robili, to może na was przyjsć raz jeszcze chwila takiego zamroczenia i możecie znowu coś narozrabiać, nie zabezpieczyć, naziabić nowych ludzi?...

Pochylił głowę i milczał.

— Nie — zrzepnął — to się więcej nie zdarzy.

— Dlaczego nie ma się zdarczyć? — zapytałam. Skoro nie wiecie, nie nie rozumiecie, to jak się można uszczę?

— Można — oświadczył stanowczo. — Takie historie mogą się zdarzyć tylko raz w życiu!

— Jakże znowu historie? — spytałem.

— No, niech pan zważy —

zaczął liczyć na zgrubiałych od pracy palcach — po pierwsze to zamienienie, przecież nie podobnego nigdy ze mną nie było, czemu więc to akurat tego dnia na mnie nadeszło? po drugie dlaczego mnie w lech nie trzasnęło, jeśli koło samej głowy mi przeleciało? po trzecie hala fabryczna liczy chyba 60 x 30 metrów. Oibrzymia przestrzeń! Trzpieni miał do wyboru całą tę przestrzeń. Mógł trafić we wszystkie okna, w drzwi, w ścianę, w sufit, w podłogę, w każdą punkt. Ludzi w hali prawie nie było, a obrabiarka Paleczaka tworzyła na tle tej przestrzeni mały fragment, jeszcze mniejszy przy niej był sam Paleczak, i jeszcze mniejsza była jego — głowa... ale właśnie w głowę został śmiertelnie ugodzony...

— No cóż — wtrąciłem. — To zwyczajny przypadek.

— Bardzo dobrze — gorąco kował się. — Powiedzmy, że to jeszcze przypadek, jak pan mówi, panie prokuratorze, ale co się zaczyna od tej chwili: trzpieni zabija Paleczaka, wali w jego obrabiarkę i wydawałoby się, że już powi-

nien być koniec, jednak końca nie ma. Co robi trzpieni? Odbija się od jego obrabiarki, a może tylko od jego głowy, zupełnie zmienia kat lotu, jak bumerang cofa się do tyłu, właśnie w to miejsce, gdzie znajduje się wózek z drzewem — uderza w ten wózek i znowu wydaje się, że to już bezwzględnie musi być koniec jego oszalałego lotu. Tak jednak nie jest: trzaska w drzewo, znowu się odbija, przelatuje na drugą stronę i trafia w głowę Joanne Leszcz, która przecież znajduje się poza wózkiem i zasadniczo powinna być w zupełności chroniona przez drzewo znajdujące się na nim. Co to jest? Dlaczego się tak stało?

Wpatrywał się we mnie swoimi niebieskimi oczami czujnie, jakby z jakąś prośbą i błaganem. Zapewne byłoby mu lżej, gdybym przyznał, że istotnie ten wypadek bardzo trudno wytłumaczyć w sposób naturalny.

— Nie — powiedziałem twardo — nie ma nadprzyrodzonych zjawisk. Gdybyście pamiętali o zabezpieczeniu nie

byłoby tych wszystkich magicznych sztuczek. Jeden człowiek nie straciłby życia, drugi nie zostałby ranny, wy nie siedzielibyście w tej chwili przede mną w charakterze oskarżonych.

Gdy wyszedł przynębiał i nieszcześliwy, siedział jeszcze czas jakiś, palł papierosa i intensywnie rozmyślał nad przedziwnym i tragicznym flagami przypadku. To się nazywa złośliwość, a może nawet zbrodnia rzeczy martwych!

Walenty Calk w dniu 11 marca 1960 roku został skazany przez Sąd Wojewódzki w Łodzi na podstawie art. 230 par. 1 KK na 2 lata więzienia z zawieszeniem wykonania na okres 4 lat. Sąd wziął pod uwagę wszystkie pozytywne opinie o nim orzekające, że ma na swoim wylicznym utrzymaniu dwoje młodych dzieci i chorą żonę.

ANDRZEJ OSTOJA

¹⁾ Nazwiska zmienione.
²⁾ Art. 230 § 1 KK: „Kto umyślnie powoduje śmierć człowieka, podlega karze więzienia do lat 5”.

kilka godzin. I właściwie nie już więcej nie można. Tylko czekać na męża (chłopcy — szukać sobie żony).

Sytuacja jest w pewnym sensie alarmująca, bo przy takim stanie rzeczy w krótkim tempie dorobimy się mnóstwa wtórnych analfabetów. Dziewczyny, które być może będą dobrymi żonami, będą doskonale gotować, potrafią sobie nawet same coś uszyć i racjonalnie odżywiać dzieci (patrz — odpowiednie rubryki w „Filipince” i „Przyjaciółce”, pogadanki organizowane przez Ligę Kobiet), ale nie zobaczy się ich w teatrze lub przed półką księgarską. Chłopców, którzy doskonale się będą czuli w urzędniczych zarekawkach, albo świetnie naprawiali się ci elektryczne, w domu nawet żonie pomogą naprawić pralkę i ubiorą się zawsze stosownie do okoliczności, ale „Zaduszki” określa jako film, w którym „ktoś komuś dał w d... nie wiadomo po co”.

Kogóż winić za ten stan rzeczy?

W dużej mierze dotyczyca sowy system szkolnictwa ogólnokształcącego i na pewno samych młodych. Istnieje bowiem Łódźski Dom Kultury z najprzeróżniejszymi sekcjami zainteresowań — od szkoły krasomówstwa — do klubu filmowców-amatorów. W Klubie MPIK odbywają się czasem ciekawe odczyty. Są wystawy plastyczne i fotograficzne. Tylko niewiele tam młodzieży pracującej. Spróbujmy zastanowić się nad przyczynami takiej sytuacji.

Wydaje się, że jedną z nich jest fakt, iż żadna z tych imprez nie jest organizowana specjalnie dla tej właśnie młodzieży. Każdy z nich może sobie sam pójść na odczyt czy wystawę, ale jako środowisko są od kultury odcięci. I dlatego wszędzie czują się obco.

Obco w KMPIK, gdzie na spotkanie z autorami przychodzi trochę osób w wieku nieokreślonym i kilku emerytów, którzy nie bardzo wiedzą co robić z czasem.

Obco na imprezach w Klubie Studenckim, gdzie dodatkowym sposobem dreczenia ich jest sakramentalne pytanie „Co pani studiujecie?”

Zresztą, żeby pójść gdzieś samemu, trzeba dokładnie zdawać sobie sprawę z własnych zainteresowań. A oni często nie zdają sobie sprawy. Chcieliby dowiedzieć się czegoś o książkach, o filmie, o malarstwie współczesnym, ale właściwie są zdezorientowani, gubią się. Samokształcenie bowiem, to trudna rzecz, wymaga dużej dojrzałości, której im często brak.

No, a poza tym, brak im dopingu z zewnątrz. Nie czują, że muszą wiedzieć. Nie czują, bo niewiele mają okazji do kontaktów z ludźmi na wyższym poziomie intelektualnym.

Sprawa jest społecznej natury i dlatego nie powinna obchodzić tylko ich samych. Przecież nie chodzi o to, aby produkować masowo sytych i dobrze odzianych indolentów umysłowych. Trzeba umożliwić myślenie tym, którzy chcą myśleć, tylko nie bardzo potrafią i nie mają okazji. Mają swoje kluby studenckie, ma młodzież robotnicza. Gdyby tak stworzyć jakiś międzyzakładowy klub dla nich? Klub, w którym można by podyskutować i posłuchać dobrego jazzu, który zorganizowałby jakiejś niedzieli wycieczkę do Warszawy na „Artura Uj”, a kiedy indziej wieczorek taneczny. Mógłby on na wiązać kontakt z Klubem Studenckim czy grupami działającymi ZMS przy poszczególnych wydziałach wyższych uczelni. Wspólnie z nimi organizować jakieś imprezy.

Korzyść byłaby podwójna, bo i Łódź miałaby pożytek ze swych studentów, których jest wcale dużo, i młodzież nie studiująca zyskałaby więcej okazji do uczestniczenia w życiu kulturalnym miasta.

CZESŁAWA DURAJ

polskiej olimpiady chemicznej. Ma dopiero 16 lat, szkołę średnią ukończył przez... 2 lata. Tak, zdał od razu klasę ósmą, chodząc do dziewiątej, zdał materiał klasy następnej i przeszedł od razu do matury.

Obok, przed polonistką siedzi właśnie ten Juliusz Jędrzejczak i wymienia najciekawsze dla siebie audycje radiowe i telewizyjne. Ogląda najczęściej „Peryskop”, „Pegaza”, „Kino krótkich filmów”. Omawia każdą z nich, analizuje ich zalety i wady. Juliusz — dowiaduje się — nie ma łatwego życia, wychowuje się właściwie sam. I okazuje się, że wcale nie wpadł pod wpływ chuligański — dodaje moja informatorka.

Nie wiem, czy te dwa przykłady mówią coś Czytelnikowi. Ja wybrałem je celowo, chcąc wskazać na przeobrażenia, które dokonują się we współczesnej szkole. A przeobrażeniom tym na imię: zbliżenie do życia. Z jednej strony wskazują na to same tematy, niemal w każdym przedmiocie szukające związków między minionym i obecnym. Z drugiej strony sposób podejścia do ucznia, znajomość jego warunków życiowych, niesienie pomocy, umożliwienie zrealizowania własnych ambicji, jak choćby w wypadku Marka Zgierskiego.

* * *

Trwają w tej chwili ustne egzaminy maturalne w 27 łódzkich liceach ogólnokształcących.

Dwa tygodnie wcześniej



zakończyły się egzaminy pisemne. Z liczby ponad półtora tysiąca uczniów klas jedenastych, dopuszczono do nich 1422 osoby. Czytelnika zainteresują chyba tematy egzaminacyjne z języka polskiego. Otóż było ich trzy: „W czym przejawia się mądrość i szlachetność w utworach Kochanowskiego?”, „Poglądy, ideały młodego pokolenia w świetle literatury pozytywizmu, o ile przypominają one nasze poglądy?” oraz „Wpływ partii na kształtowanie się poglądów i osobowości człowieka w oparciu o „Stare i nowe”, „Pamiętkę z Celu-



lozy” i poezje Broniewskiego”.
Mówi kierownik oddziału

szczy lub trzeci. O poziomie prac trudno jeszcze w tej chwili wyrokować. Zwraca uwagę fakt dobrego opanowania materiału rzeczowego, przy jednoczesnych lukach w umiejętnościach samodzielnego myślenia. Oto niestety sposób ujęcia tematu o Kochanowskim — charakterystyka europejskiego renesansu, Odrodzenia, życia i twórczości poety, zaś dopiero na końcu pewne wnioski. A przecież temat narzucał ujęcie problemowe. To jednak jeszcze nie powód do dyskwalifikacji. Na razie zresztą niech mówią liczby. Nie dopuszczono do egzaminów ustnych zaledwie 46 uczniów. Natomiast 16 mieliśmy takich, którzy oba egzaminy pisemne zdali świetnie i zostali zwolnieni z ustnych. W obu przedmiotach pisemnych liczba prac które pozwoliły na zwolnienie z dalszych egzaminów wyniosła 54”.

Te wyniki pozwalają nabrać zaufania do tegorocznych maturzystów, mimo że ostatecznych rezultatów jeszcze nie znamy. Warto przytoczyć także i inne cha-

uczniów zdecydowało się na język obcy. Zaś sześcioro było takich, którzy prosili o przeegzaminowanie z dwóch języków obcych, by i ten wynik figurował na świadectwie maturalnym.

Zaś wspomniany już Piotr Rajchert z XXI Liceum, zwolniony z czwórka z egzaminu ustnego z matematyki, zdecydował się jednak zdawać dalej i ten przedmiot — może uda mu się podwyższyć ostateczny stopień?

Znaleźć można w tym roku wiele przykładów ambicji maturzystów, wysnuć można wnioski ogólne o solidnym przygotowaniu. I wnioskując dalej stwierdzić trzeba, że nie jest to jakiś przypadkowy „dobry rok”. Zaczynamy po prostu chyba zbierać owoce zmian w strukturze szkolnictwa licealnego. Nauczyciele, działacze oświatowi, odnoszą się zawsze bardzo krytycznie do swojej pracy, stąd opinie publiczną poruszają ciągłe dyskusje o charakterze i strukturze szkoły średniej, o efektach nauczania. Nie

„JĘDRZEJCZAK, wróć z tarczą!”

Dokończenie ze str. 1

szkół licealnych łódzkiego Kuratorium, mgr Tadeusz Podwysocki: „Większość uczniów wybierała temat pierw-

razystyczne fakty. Oto wybierając samodzielnie dodatkowy, piąty przedmiot do egzaminów ustnych, 320

znaczy to jednak wcale, że szkoła nie idzie naprzód.

Przy tym wszystkim, dalej wszakże pozostaje otwarta sprawa dalszego losu absolwenta liceum ogólnokształcącego, dorosłego człowieka bez miejsca w życiu, bez kwalifikacji do zajęcia natychmiast konkretnej funkcji w społeczeństwie. Według danych ankiet z lutego bieżącego roku, 1085 uczniów klas jedenastych wybierało się na studia. Dostanie się zapewne na wyższe uczelnie nie więcej niż połowa kandydatów. Układ zgłoszeń jest bardziej prawidłowy, niż w latach poprzednich, ale run na uniwersytety trwa w dalszym ciągu.

Co będzie z tymi, którzy od egzaminów wstępnych odejdą z kwitkiem, co będzie z tymi którzy w ogóle nie kandydują do dalszej nauki?

Postaramy się wrócić do tych spraw przy okazji analizy ostatecznych wyników tegorocznej matury, coś niecoś na ten temat publikujemy obok. Na razie nie psujmy krwi ludziom do których wolne od rygorów życia właśnie uśmiechnęło się wszystkimi swoimi powabami.

JULIAN BRYSZ

odgłosy str. 5



Z matury w XXI LO im. B. Prusa

Zdjęcia L. Olejniczak



(Dokończenie ze str. 1)

skoro poświęca tyle czasu, pracy i nerwów. Za wszystko przepraszamy i dziękujemy i prosimy by dnie 1 czerwca zawsze były mile spędzone.

Dzieci uczęszczają do różnych szkół, należą do różnych organizacji, jednak więź sąsiedzka, podwórkowa jest najsilniejsza. Wspólne zabawy i gry, najczęściej w zgadywanke, w zbijaniego, w nauczycielkę, w nogę — to pierwsze zetknięcie z życiem, z uczuciowością lub niesprawiedliwym „laniem”, z życiem dorosłych. „Oni krzyczą, gdy gramy w piłkę pod oknami, przepędzają nas na drugi koniec” — skarżył się jeden z chłopców, a inny dodaje zaraz: „To było wtedy jak Marek zbil szybó”.

Dlatego też zaistniała potrzeba założenia oficjalnie „urzędowo” drużyny podwórkowej. 15 stycznia br. odbyło się pierwsze posiedzenie samorządu. Przeglądałem zeszyt z protokołami zebrań, odczytując nazwiska aktyw: Marek Sieroni, Bogdan Danisiewicz, Mieczysław Stróż, Elżbieta Wojtowicz, Bożena i Zbigniew Kacprzykowie, Barbara Gapys, Lucyna Musiał. Do drużyny należy w sumie ponad 20 osób — prawie wszystkie dzieci z podwórka, ale, niestety, są jeszcze matki, które nie pozwalają swym pociechom uczestniczyć we wspólnych zabawach i pracach, zamakają je w domu, krzyczą. I kogo tu najpierw wychowywać?

Imponująco przedstawia się plan działania drużyny — podaje najbliższe zamierzenia na podstawie planu pracy, umieszczonego w zeszytach zebrań:

- urządzenie piaskownicy dla najmłodszych dzieci,
- pomoc w założeniu skrzynki z kwiatami w oknach, szczególnie na parterze,
- dbanie o trawnik, który znajduje się przed naszą posesją,
- zbiórka makulatury, a pieniądze otrzymane ze sprzedaży przekazać do kasy samorządu,
- dbanie o czystość podwórka i klatek schodowych,
- raz na dwa tygodnie omówić sprawy naszego podwórka.

Ponadto Samorząd opiekuje się mniejszymi dziećmi — „uczymy ich gry w siatkówkę, uczymy innych gier, zabieramy do Heleny, żeby się nie bily”.

Najważniejsze jest jednak to, że do pracy włączają się rodzice. Duża w tym zasługa p. Spiewak. „Ktoś musi inicjować? Co zrobi generał bez wojska?” Radna broni się przed pochwałą. Jej zapał udziela się wszystkim, matki szyją kostiumy, ojcowie pomagają również, np. p. Krakowiak przygrzewał na akordeonie, a p.

Wojtowicz przyniósł adapter na podwórko, aby dzieci miały muzykę w dniu swego święta. Bez takiej życzliwości niewiele można byłoby zrobić. Atmosfera współpracy stanowi podstawę osiągnięć drużyny. Jeżeli już same matki na pytanie — jak oceniasz działalność samorządu? — stwierdzały: teraz jest o wiele lepiej, to niewątpliwie jest to największy sukces, tym bardziej, że wiele potrzeb zespołu można zaspokoić tylko poprzez zbiorczą pracę w całej posesji.

Moi rozmówcy, mimo woli, zaczynają dyskutować o najbliższych sprawach: pod płótnem trzeba koniecznie zasiać fasolę, na podwórku nie ma przecież ani skrawka zieleni, p. Danisiewicz musi pójść z chłopcami do Zbiernicy Surowców Włóchnych — ul. Rewolucji 1905 r. nr 64, która przekazuje bezinteresownie 90 desek na skrzynki kwiatowe, dalej — należy zebrać rysunki na konkurs „Moje wakacje” i przesłać do Komendy Chorągwi Łódzkiej, no i rzecz najważniejsza — przygotować tegoroczne święto.

— Jutro będzie próba — przypomina sobie Bogdan — niech pan przyjdzie.

Przyszedł. W prywatnym mieszkaniu p. Spiewak (w zatłoczonej kamienicy nie sposób znaleźć jakiegokolwiek pomieszczenia) zebrały się dzieci — dziewczęta w świątecznych sukienkach i białych pończotkach, chłopcy w niedzielnych garniturach, w krawatach. Obecna jest również jedna z matek p. Kacprzykowskiej. Przysłuchując się próbie i widząc zainteresowanie dzieciaków, zapisując kolejno ich nazwiska, Waldemar Danisiewicz — śpiewa piosenkę „Maszynista” i mówi 2 wiersze „Znaleziono Goethego” i „Chochlik drukarski”. Słobodnika, Basia Gapys recytuje „Dwa wiatry” Tuwima, Tadek Wojtowicz — „Owocobranie” Janeczarskiego, Bożena Kacprzyk — „Figielek” Tuwima, Kryśka Szczepanek z kl. II śpiewa „U prząsniaczki siedzą”, a wiersz „W dalekim lesie”, a piosenki „Już pogodził się wola słońce”, „Uciekło sikorze pióreczko” i wiersz „Idziemy, trzymamy się mocno za ręce” wykonują wszyscy. Na próbie jest także Ela Kobus, zam. ul. Nowotki 6, a więc działalność dzieci wykracza poza ramy podwórka. Jak się zresztą dowiedziałam na uroczystości czerwcowe przychodzi zawsze z sąsiednich domów ok. 100 osób. Ta cyfra mówi sama za siebie.

Zegnając się z dziećmi, zadaje im jedno pytanie: Jakie są wasze największe marzenia? Odpowiedź natychmiastowa: „Och, żeby tak zdobyć własne pomieszczenie, własny kąt lub plac, gdzie moglibyśmy się bawić bez przeszkód!”

Życie powodzenia w tym zdobywaniu.

Zdjęcia: W. BILIŃSKI

ANNA KULIGOWSKA

TADEUSZ GIERYMSKI

* * *

Wszystko płowieje i zastyga w bieli.
Czas rzeczy łączy, a nas tylko dzieli.

Ujęta w srebrnych oddalenia ramach
Jesteś klasyczna, jeśli jesteś sama.

I zrozumiałem południa uroki:
Cieszę nas nieraz odchodzące kroki.

Milkną jak tony milknącej muzyki.
(Zamienimy się wszyscy w białe stalaktyty).

Wysokie było piętro, na którym mieszkała ze swą rodziną. Dzieci wcześniej zaczynały się interesować toczącymi się chmurami. Różno kolorowe obłoki podchodziły do szyb. Mijał je księżyc. Przekreślało słońce. Wiatr przynosił śnieg i deszcz. Uderzał tak mocno, że drżało szkło, a dzieci klaskały ciesząc się ze swego bezpiecznego miejsca widokiem groźnej siły.

Poza kręgiem zabawek i chórem książek były jeszcze garnki. Kipiły i warczały. Trzeba było je stale dozorować. Wrocie siły brudziły podłogę i darły ubrania.

Jako stróż i pan tyłu rzeczy, a także współtwórca istoty, Maria musiała wszystkie je poustawiać w czasie. Najwięcej kłopotu miała z sobą. Produkując myśli nie potrafiła dać im nieodczuwanych odcińków czasu. Tepila garnki albo zawierała pakt z mocami chaosu.

Naturalnie były to sytuacje śmieszne, klasyczne źródła humoru.

W telewizji nadawano starą sztukę Brunona Wina-wera. Do kobiet rozmawiających przy kawiarnianym stoliku o sztuce czy nauce, podchodził mąż, żądając natychmiastowego przyszycia odlatującego od kamizelki guzika. I oto intelektualistka okazuje się zwykłą gęsią. Jaką tępą ma minę nawlekając igłę. Jak pośpiesznie, pokornie pochyla głowę nad nitką.

Widzowie wybuchają śmiechem.

Podobnie jak do niedawna z Murzyna skroconego w iles pod workiem bawełny, z chłopca podpisującego się krzyżkiem.

Odwiedzali Marię malarze i poeci. Zdarzało się, że przy-mowała ich w kuchni gotując grysik, albo przysmażając kotlety. Pamięta tego jednego z obryzanych plecakiem na małej czarnej postaci, wędrował stale tu i tam, spokojny, że dwójkiem jego dzie ci zajmie się przytwardzona do domu żona. Opisał potem w uroczej komedii te dywagacje pomiędzy kipiącym mlekiem a szukaniem smoczka, że pseudo-myśli istoty rodzącej i karmiącej.

„Nie ma większego nieszczęścia, niż być kobietą i nie wiedzieć, że to największe nieszczęście” — powiedział Kirkegaard.

Maria była w tym lepszym położeniu, że wiedziała o tym zawsze.

Człowiek skazany na mi-jałność i śmierć, a umiejący sobie wyobrazić wieczność i trwałność, jest stworzeniem tragicznym, egzystującym w nim równocześnie prawdy bytu i niebytu. Kobięcie dolożono dodatkowe obciążenie — przeznaczona przez biologię na bierność, przez świadomość podrywana do akcji. Dlatego kobieta powinna przestać nareszcie ufać naturze, jej sojusznikiem jest cywilizacja i społeczeństwo, które pomaga niweczyć garnki i daje nadzieję na przekształcenie parującego — od chwili gdy podbito kraj Amazonek — modelu mężczyzny.

Zdarzało się, że podobne idee Maria wypowiadała w świetlicy fabrycznej lub pe-gierowskiej, przy okazji odczytu o Marii Konopnickiej albo Adamie Mickiewiczu. Kobiety z zasady najpierw lekko martwiły z przerażenia, następnie klaskały z za-

palem w swe zniszczone dło-nie, podchodzili do Marii, ścisnęły jej ręce.

Współczuła im gwałtownie. Blade ich oczy, rozdęte od żyłaków lydki, pod zbrudzo-nymi czolami łopocząca troska.

Były naturalnie różne. Tak że te w srebrnych lisach, ze sznurami perelek na swet-rach, pierwsze występujące w dyskusji, donośnym głosem mówiące:

„Zadamy literatury o boha-terskiej klasie robotniczej. O nas, które własnymi rękami — “

ANNA POGONOWSKA

CO DZIEŃ

Wszystkie łączyła wspólna ceccha — praca od świtu do północy.

Przybiegali do świetlicy, żeby nauczyć się kroju i wy-pożyczyć pralkę, a jeśli zna-lazy wolną chwilę, aby po-patrzyć na telewizję. Bo czas był tu elementem decydują-cym.

Świadomość ludzka jest czymś istniejącym w prze-strzeni i czasie, jak można wymagać od kobiety myśle-nia, gdy odziera się ją z każdej minuty.

Konwencja społeczna od-wieków zamykała kobietę w kręgu przemian i koniecz-ności biologicznych. Poślani-ctwem jej była kokieteria, hodowanie dzieci i osładza-nie życia wracającemu co drugą noc mężowi. To był powszechny system wartości, któremu podlegała.

Chrześcijaństwo dawało co prawda klasyfikację mo-ralną, lecz cnoty, których wy-magano od kobiety, jak na przykład posłuszeństwo i cierpliwość, były tylko Inną nazwą jej biologicznego u-tylizizmu.

Obecnie, mimo nadmier-nej ilości obowiązków, w które jest wtórcona, istnieje punkt będący oparciem no-wego typu oceny — jej za-wodowa praca. Ona jest pod-stawą jej społecznej wartoś-ci, zaczątkiem systemu sze-regującego sensownie jej e-gzystencję, a więc także w przyszłości zdobywającego dla niej czas.

Rozwarte, niewierzące o-czy kobiet, którym tłumaczy-ła, że powinny także swych synów zapędzić do domowej roboty, a pozwolić odpocząć córkom przy gazecie. Cześ-to nie zgadzały się „bo chło-pak to musi pograć w piłkę

albo iść na ryby, dziewczyna nie — “

Ileż razy — gdy stojąc w kolejce po mięso Maria opo-nowała, kiedy ekspedientka pomijając szereg czekających kobiet, załatwiała sprawunek dopiero co przybyłemu chło-pakowi — cała gromada o-bracała się z krzykiem, z nie-nawiścią do niej — że jak śmie — że przecież to mę-zczyzna. —

Z nad swego prelegencie-go stolika wdziała ich nieu-fne oczy. Ale potem klaskały, zarzucały ją pytaniami, wre-

ście zdejmowały z okienne-go parapetu troskliwie wy-hodowaną paprotkę i spon-tanicznie uchwalaly, że to dla Marii.

Nie zawsze tak było. Ale zdarzyła się przecież ta pa-protka także.

Wokoło domu krążyły jas-krawe i czarne obłoki. Go-łębie i kruki siadaly na po-ręczach balkonu. Dym rzucał błyszczące sadze na okna. Gdy dzieci zaczęły podras-tać, sadzy nadlatywało coraz mniej. To fabryki przestano karmić bezpośrednio węglem, trybły ich poruszała biała e-lektryczność.

Ciemne labirynty jej dzie-ciństwa, wąskie ulice zabu-dowane ścianami kamienia i ranami fabryk, mijała je zawsze jak sen koszmarny, z którym należy walczyć, z którym należy biuroko stało przy wąskim oknie, za któ-rym ziała fabryka. Umiała jej nie dostrzegać. Przewra-cała stopy książek, czarne mrówki liter były kluczem do świata innego.

Jeszcze zanim nauczyła się czytać, wiedziała jak należy uciekać. Z małym okrągłym

ARETUZA

Przed kim uciekała
Lekką stopą po kamieniach
Pod błękitną muszlą nieba
Aretuza siostra wody
Białej ciemnofioletowej.

NAUZYKAA

W fiolkowym cieniu, z rękami na głowie,
Z bijącym sercem, obecna bez słowa
W pieśniach o ciemnej podróży jak wino.

lusterkiem siadywała na ok-nie zastawionym ścianą tkal-ni, manewrując nim w taki sposób, że nagle chwylała w nie — na pozór niewidoczne w szybie — niebo. I pochy-lona nad falą zadymionego błękitu, spadała w jego głę-bię intensywnie.

W ostatnim roku przed wojną, fabryka stojąca w jej oknie zamilkła i zagasła. Przez bramę nie snuł się rząd odzianych w chusty ko-biet. Maria tak wyobrażała sobie chór greckich tragedii. W ciemnej wnęce przez pró-szącą śniegami zimę zagnież-dził się, choć chyba to było gniazdo zimne i straszne, długi szary skrzypek, grają-cy od zmierzchu do chwili gdy Marię wołano na kolację, jedną i tę samą melodię. Był to jakiś monotonny za-lamujący się werseł, taki, że bolało ją serce. Siedziała nad biurkiem, nad książką, nie czytała, jak zwykle łą, gdy podnosiła oczy, z trudem go dostrzegała przez zacierające wszystko płatki śniegu.

Oddawała mu prawie całą tygodniówkę, wiedząc, że to nie litość, ale egoizm zjed-noczenia z tą wołającą mu-zyką.

Nocami przypelzywał rytm. „Sny te zaczynały się jed-nakowo. W zmierzchu mieszk-ania jak w pajęczej sieci, coś dygocze. Otwiera drzwi do granatowego salonu, przy pianinie siedzi matka z jej małą siostrą i grają na czte-ry ręce. Nie grają, wybijają na białych klawiszach los-koł, głuchy huk automatów”.

Otwierała oczy. Który sen jest jawą? Skrzypek w dymiącym śnie-gu pochłaniający melodią grzechot ulicy, czy ta ciem-ność uderzająca pulsem cha-osu?

Wzywała zamierającą, a żywą w każdej fermacie frazę.

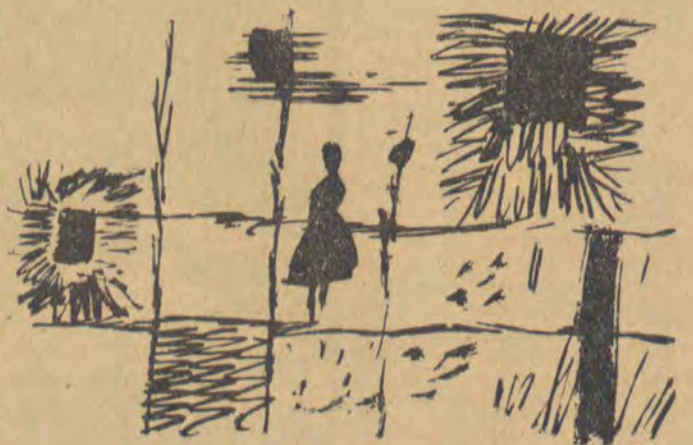
Zbrojna jej kształtem — jak tarzać — zasypiała.

Miedzy brzegami jej wlas-nego dzieciństwa a jej dzie ci wrowal wojenny lej. Omija-la ostrożnie jego ziejącą pasz-cze.

Prowadząc córkę i syna, przechodziła koło wielkich bloków błyszczących setka-mi okien, cichych w swym monotonnym gwarze mrów-czego życia.

Mieszkała tu ci, którzy nig-dy nie oglądali wystaw jej przyjaciół malarzy, nigdy nie czytali żadnego z wierszy ży-jących w tym blisko milio-nowym mieście, kilku poe-tów.

Za chwilę wejdzieła z dziećmi windą na swoje pię-tro. W dużych oknach mieszk-ania obracało się niebo z wszystkimi swymi światłami.



IMPREZA pełna emocji

Tydzień trwało spotkanie wydawców Wschodu i Zachodu. Przez siedem dni przewinęło się przez sale wystawowe, na 4 kondygnacjach Pałacu Kultury i Nauki, ponad 55 tysięcy zwiedzających, aby zetknąć się oko w oko z dorobkiem edytorskim dwóch tysięcy wydawców z całego niemal świata. Urzekające, barwne i ogromne widowisko, w którym rolę aktorów spełniało 60.000 książek, reprezentujących ogrom dorobku myśli ludzkiej we wszystkich dziedzinach.

Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie stworzyły tradycję i choć tradycja ta jest stosunkowo świeża (tegoroczne MTK były siódme z kolei), a jej stale wzrastająca atrakcyjność jest tą siłą, która z roku na rok przyciąga coraz więcej wystawców. Było ich w tym roku około dwustu, w tym 130 zagranicznych.

Ta gigantyczna konfrontacja polskich wydawnictw z książkami wydanymi w innych krajach znalazła uznanie wśród najwybitniejszych znawców krajowych i zagranicznych, którzy stwierdzili, że w odróżnieniu od innych targów książek (Frankfurt czy Lipsk) — „Tu, w Warszawie, „gra” książka, a nie efekciarstwo. Tu widać książkę, a nie zbyteczne ozdoby. Tu nikt z wystawców nie jest faworyzowany, tu decyduje książka i tylko książka”.

MTK — zajmujące czołowe miejsce wśród najważniejszych imprez targowych świata — cieszyły się w tym roku znacznie zwiększonym zainteresowaniem zarówno krajowych socjalistycznych jak kapitalistycznych. Wyrazem tego były uchwały powzięte na dwudniowej konferencji kierowników ruchu wydawniczego obozu socjalistycznego, zorganizowanej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. A więc: wspólne wydawnictwa atlasów, słowników, albumów, podział dyscyplin wiedzy przy wydawnictwach specjalistycznych, ulepszenie wzajemnej służby informacyjnej w dziedzinie literatury społecznej i politycznej, znaczne nasilenie wydawnictw informujących o życiu krajów naszego obozu.

Stwierdzono też, że odkrywają się realne możliwości dla realizacji wzajemnej pomocy przy opracowywaniu podręczników dla szkolnictwa wyższego.

Jeśli idzie o kraje kapitalistyczne — to przyczyną ich zwiększonego zainteresowania targami był przede wszystkim wzrost popularności na Zachodzie książki polskiej, szczególnie naukowej, technicznej, ekonomicznej, albumowej i dziecięcej, drukowanej w Polsce w języku obcym. Po drugie — uruchomiony ostatnio w naszym kraju, stale rosnący eksport usług poligraficznych, z których zachodni kontrahenci są bardzo zadowoleni (Francja, Anglia, NRF, Szwecja i Szwajcaria). I wreszcie zakup licencji zagranicznych. Obejmują one zakup praw autorskich i wydawniczych do druku książek zagranicznych w obcych językach w Polsce. Chodzi tu przede wszystkim o słowniki i podręczniki do nauki w języku obcym.

Znakomitym pomysłem na tegorocznych Targach było urządzenie Wystawy Grafiki Książkowej, na której zgromadzono 150 plansz wybitnych artystów i ilustratorów polskich. Polska grafika, ciesząca się zasłużonym uznaniem na świecie, tu na Targach — szturmem zdobyła sobie entuzjastów wśród wielu wydawców zachodnich. Spośród nich m. in. wydawca zachodniomemiecki zamówił w 50 tys. nakładzie zbiór ilustracji Janusza Głabiańskiego, znanego ze znakomitych ilustracji książek „Naszej Księgarni”.

Eksport książek za 480 tys. złotych dewizowych i usług poligraficznych za 1 milion 933 tys. zł dewizowych — to efekty transakcji handlowych na tegorocznych Międzynarodowych Targach Książki. Większość naszego eksportu — to książki dziecięce, wydane przez „Naszą Księgarnię” i „Ruch”. W imporcie znacznie powiększyliśmy stare zamówienia na nowości książek naukowych, technicznych i medycznych z USA i Austrii. Dodać do tego należy bardzo korzystne transakcje eksportowo-importowe w zakresie nut i płyt. Dzięki transakcji z Danią

polska płyta wejdzie w tym roku na rynki zachodnie.

Efekt polityczny i kulturalny — to międzynarodowa współpraca specjalistów różnych dziedzin, dla których kontakt z bieżącą literaturą jest podstawowym warunkiem pracy. Konfrontacja osiągnięć edytorskich Wschodu i Zachodu przyczyniła się nie tylko do rozszerzenia wymiany handlowej, stanowiła również doskonałą platformę wymiany poglądów na aktualne — nie tylko kulturalne — sprawy naszego globu. Stanowiła ważne ogniwo w zadziernięciu więzów sympatii i przyjaźni między przedstawicielami wielu narodów świata, przybliżając do nich sprawy Polski i innych krajów socjalistycznych. Trzeba bowiem wiedzieć, że choć połowa pozycji wydawanych ogółem na świecie jest dziełem ruchu wydawniczego w krajach socjalistycznych — to jedynie MTK w Warszawie prezentują dokładny obraz światowej sytuacji wydawniczej. Albowiem na Targach Książki we Frankfurcie n/Meinem (największe aktualnie tego rodzaju targi na świecie) z 2000 stoisk — zaledwie 100 stoisk przeznaczonych jest na ekspozycję wydawnictw krajów socjalistycznych. Dyskretna minacja — jak widać — różnymi chadza drogami...

Wspaniałe były te dni targowe, dni pełne emocji i wzruszeń. Dopisała ekspozycja, no i publiczność. Pełni zachwytu dla naszej polskiej publiczności, tej warszawskiej i tej, która przybyła na Targi z całej niemal Polski — byli wystawcy zagraniczni. Przytoczę tylko jedną z wielu wypowiedzi. Mówi p. Max Lambert, przedstawiciel Departamentu Etranger Hachette, Paris:

„Uderzający jest poziom publiczności na warszawskich Targach. To zdumiewające, z jaką miłością i jak rzeczowo odnoszą się tutaj ludzie do książek. Pytają zawsze o konkretne dzieła. Wiedzą dokładnie czego chcą — do tego stopnia, że odnośzę wrażenie, iż lepiej ode mnie orientują się w wydawnictwach przez nas książkach”.

Nie dodać, nie ująć. Po prostu przyjemnie było słyszeć tę i wiele jej podobnych wypowiedzi.

Wytrzymujemy porównanie z zagranicą — powiedział Jan Parandowski, zwiedzający VII MTK.

Dodam, że nie tylko w edycjach wydawniczych.



Pisząc o poezji dzisiaj, w czasach napiętej próby „wytrzymałości” estetycznej czy może tylko wydolności percepcyjnej czytelnika, stajemy mimo woli przed kwestią szans powodzenia nowoczesnej sztuki w ogóle. Sprawa ta nie jest nowa, ale obecnie rysuje się znacznie ostrzej, prawdopodobnie dlatego, że ilościowo wzrasta cała ta produkcja, którą słusznie czy niesłusznie określamy jako nowoczesną. Od kiedy sztuka i literatura przestały wier nie ilustrować i przekonywać, a objaśniać życie ludzkie, stosunek przeciętnego konsumenta tych wartości zaczął ulegać zmianie. Stopniowo wycofywał swój kredyt zaufania — początkowo podejrzliwość wobec eksperymentatorów przemieniła się w nieukrywaną niechęć lub wręcz wrogość. Zwolennicy dawnych norm artystycznych chętnie powołują się na przykłady. Jest ich wiele, bardzo autorytatywnych. Jeden z wybitnych muzyków miał powiedzieć na łóżu śmierci, że tyle jest jeszcze do napisania w zwykłej tonacji c-dur, którą zdradził, różnej maści realści stale przypominają o niewyczerpanych zgłola możliwościach, jakie oferują uznane i od wieków stosowane formy wypowiedzi, a jednak... A jednak złożoność rzeczywistości, czego dowodem i zarazem odpowiedzią jest tak oszalała, mijać rozwój nauki i techniki zmusza twórców do szukania i stosowania doskonałych instrumentów do poznawania czy odkrywania świata.

Poznanie i odkrywanie wciąż na nowo. Aby nie zmylić tropów, którymi idą, potrzeba nakierować słuch i wyobraźnię w inną stronę. Prawdopodobnie długo jeszcze dawne harmonijne obrazy i konstrukcje świata, utrwalone przez poetów, trwać będą w pamięci i wywoływać pragnienie dalszych podobnych wzruszeń i emocji. W poezji przetrzeganą ład, zamykano szczególnie wzię w rygorystycznie skomponowaną strofę, osaczoną schematem wersyfikacyjnym na czele z rymem i średniówką, wprowadzano obraz z anegdoty, podążającej pilnie ku polnie. Obowiązywała dyscyplina.

Dla większości czytelników obcowanie z poezją jest obcowaniem z takim właśnie ujarzmionym i przyporządkowanym regułom światem. I chcąc omówić „Wiersze zebrane” Grzegorza Timofiejewa (Wydawnictwo Łódzkie 1961) wchodzę niepotrzebnie między poetę i odbiorcę. Wolno mnie nazwać intruzem! Ten świat, wzniesiony wyobraźnią i sercem poety, nie potrzebuje egzegety, realizuje się w klarowne kształty i układy z każdą linią i zwrotką. Timofiejew przynależy do szacownej rodziny liryków, obdarzonych intymną podniosłą pamięcią

rzeczy i twarzy minionych, które przez fakt ich nieobecności przybierają wymiar melancholijny lub tragiczny. Wszystko, co pozostaje za nami (dzieciństwo, miłość, przyjaźń) wchodzi w wiersz motywem udręki, bo zdają się być, ale są! skutkiem gorzkich doświadczeń i wyrozumiałej dojrzałości, przesuwał się perspektywę oceny. Odnoszę wrażenie, że poezja Timofiejewa utrzymuje się w ściankach czystego autobiograficznego przekazu, jest dokumentem bardzo osobistym, a także jakimś ekspresywnym komentarzem czasów (sugestyny cykl obozowy). Nie bez powodu Timofiejew dał nam taki wybór wierszy, bardzo bezpośrednich, zewnętrznych: w nich jest najpełniejszy i niesklamany czy raczej deklaracyjny, co szczególnie widać w niektórych rzeczach o wystrój społeczny. Ten rys „spowiedniczej” niejako

STANISŁAW
KASZYŃSKI

„MOJE ŻYCIE jest w rękach MROKU...”

intymności wydaje się dość charakterystyczny dla tej poezji refleksyjnej, w której podmiot liryczny eksplloatuje najbliższe zdarzenia i realia z „planu autentycznych doznań”.

Stąd bierze się ten znamienny układ treści: od bezpośrednich wyznań — relacji tzw. samoistnych wypowiedzi, którymi Timofiejew najczęściej zaczyna swój wiersz, wzbogacając je międzysłowem z bardzo częstymi porównaniami do rzadkiej metafory. Oto powtarzający się regularnie schemat: „Myśli moje jak lalki zapachem wzbudzone...” (bez tytułu **).

„Czekałem, a tymczasem w wierzbach coś pęczniało. Zniecierpliwiona ziemia mgłą westchnęła z cicha” (Siedem lat), „Oto dzień z moich rąk wykipiał. Tylko na samym dniu gorycz. Wiatr kosił ogrody rozsypał. Pełne

uwiedleń pory...” (Manewry jesienne) czy „Tylko Twój szepł miłosny wszędzie słyszę. Nie wiem, co dzisiaj, a co wczoraj...” (Miłość) itd. W rezultacie tej skłonności Timofiejew zwiększa komunikatywność swego języka, czyniąc z niego sprawną przekazy swoich wyznań.

Timofiejew reprezentuje osobowość poetycką dostatecznie skrytą, aby ów tom traktować za sumę doświadczeń i poglądów poety. Nie chcę przez to powiedzieć, że tym samym wykluczam moment niespodzianki w tej twórczości. Wprost przeciwnie, zakładam taką ewentualność poszukiwań po torze eksperymentu formalnego; nawet w tym tomie znajdują się pewnie próbki w tym kierunku. Jednak to, co w moim przekonaniu każe mi być pesymistą w tej mierze, wyprowadzam z typu wrażliwości i wyobraźni Timofiejewa, z jego kodu poetyckiego, który warunkuje określone ujmowanie liryczne świata.

Otóż już powierzchowna analiza cech stylistycznych językowych wykazuje swoisty rodzaj przeżywania i opisu poety. Nie uzurpuję sobie prawa do wartościowania, chciałbym tylko zwrócić uwagę na niektóre właściwości. U Timofiejewa uderza obcesyjny kontemplacyjny zjawisk, rzeczy i wydarzeń. Takie medytacje mogą mieć różnoraki odcień emocjonalny: pogodny, wesoły, sentymentalny, melancholijny czy tragiczny. Aby oznaczyć zatem charakter stosunku poety do przedmiotu jego twórczości, należy ująć statystycznie, jak często powtarzają się na gruncie danej poezji (czy utworu) poszczególne słowa. Najczęstsze to tzw. „słowa-klucze”, które w zależności od ich znaczenia w języku mogą wyznaczać zgodny z tym znaczeniem czy też zupełnie odmienny w kontekście poezji nastrój, barwę, klimat. Już z pobieżnego rachunku wynika, iż takimi hasłami wywoławczymi są dla Timofiejewa „słowa-klucze” — „śmierć” i „jesień”, z odpowiednimi bliskoznacznymi po linii emocjonalnej. Co istotne, zjawiają się te słowa w różnych miejscach, nawet niezależnie od tematu. Timofiejew zdaje się budować jakiś łańcuch skojarzeniowy. I tak niejako w polu magnetycznym „śmierci” odnajdujemy słowa: „ból”, „bolesć”, „męka”, „męczarnia”, „męczelstwo”, „agonia”, „zgon”. Bliskie, poprzez asocjacje, będą takie słowa, jak: „zaulek”, „gąszcz”, „mgła” (klikające razy), „ciem”, „ciemniota”, „maligna”, „sen”, „bajka”.

Podobny szereg można by wypisać dla „jesieni”, która pojawia się w ramach wy-

Dalszy ciąg
na str. 8

Sedno rzeczy MARIAN PIECHAL

Pelagia, uczennica diabła

Mowa tu oczywiście o świętej Pelagii z okresu jej życia, kiedy jeszcze święta nie była. Nie tylko, że nie święta, ale wprost przeciwnie. A „uczennicą diabła” nie nazwał jej nikt inny, tylko właśnie ona sama w liście do „pewnego świętego ojca, imieniem Nonnus, biskupa miasta Heliopolis, zwanego dziś Damietta”.

Kiedy to było? Pod koniec trzeciego wieku naszej ery. Po co o tym mówię? Ano zaraz się dowiemy. Przede wszystkim uważa na marginesie: czy można zostać świętym, nie będąc uprzednio upadłym? Przecież łaska świętości, to nagroda za trud wywyższenia się z upadku. Im większa świę-

tość, tym głębszego upadku musiała być rezultatem. Wielkość zasługi liczy się bowiem miarą odległości między pokusą grzechu a heroizmem cnoty. Dobroć ludzka to nie przypadkowy dar natury, lecz dowód codziennego zwycięstwa w człowieku jego lepszej strony nad gorszą.

A teraz do rzeczy. Otóż czytając ten pozornie naiwny żywot świętej Pelagii z uroczą średniowiecznej „Złotej legendy” sławnego Jakuba de Voragine, zastanawiałem się nad jego głębszym sensem. A sens ten wcale jednoznacznie, jak to bywa u tego niezwykłego pisarza, układa się w następujący problem: czy zły przykład

może być pobudką dobrego? Albo inaczej: czy ze złej przyczyny może wynikać dobry skutek?

Jakub de Voragine twierdzi, że tak. Jego zdaniem opisywane przez niego (prze-

jechała przez miasto z tak wielką okazalnością, że tylko złoto, srebro i drogie kamienie widać było na niej, a ktokolwiek przechodził koło niej, czuł zapach rozmaitych wonności”.

Ujrzał ją wtedy ów rzeźbiony wyżej światłobliwy biskup miasta Heliopolis, po czym „rzucił się na podłogę”, uderzył czołem o posadzkę i zraszając ją łzami mówił: „Boże na wysokościach, przebac mi, grzesznikowi, iż przepych, którym się otacza nierządnicą w ciągu jednego dnia, przewyższam trud całego mego życia! Ona z największą starannością przyozdabia się, aby podobać się ludziom, a ja chciałem podobać się Tobie, Panu nieśmiertelnemu, lecz przez nieudolność moją nie osiągnąłem tego! Później rzekł do tych, którzy z nim byli: zaprawdę, powiadam wam, na sądzie ostatecznym Bóg wyprowadzi przed nas tę kobietę, ponieważ ona tak troskliwie się maluje, aby spodobać się tym, którzy ją tu na ziemi kochają, my zaś nie dbamy o to, aby się spodobać Oblubieńcowi niebieskiemu”.

Oto przykład ze zła jako zachęta do czynienia dobra. Jakimś wielkim pisarzem musi być Jakub de Voragine, żeby z postępowania prostytutki zrobić wzór postępowania sługi bożego?

A owa grzeszna Pelagia znalazła się, że tak powiem, w orbicie pobożnych wypowiedzi o niej i kazań owego świętego ojca, który jej nie potępił, lecz wziął z niej przykład, taki poczuła się za grzechy, że posłała mu przez posłańca list tej treści: „Pelagia, uczennica diabła, pozdrawia świętego biskupa, ucznia Chrystusa. Jeśli rzeczywiście jesteś uczniem Chrystusa, który jak słyszałam dla grzeszników zstąpił z nieba, to racz przyjąć mnie, skruszoną grzesznicę. Ja jestem Pelagia, morze nieprawości rozlewające fale grzechów, ja jestem przepaścią zguby, otchłania i siecią, w której ginęły dusze! Wówczas biskup naznaczył jej zbawienne pokutę i oczyścił jej duszę przez chrzest święty”.

Alfisi diabeł, który w niej dotąd siedział, poczał gwałtownie protestować. Ale ona „raz przeżegnała się” tylko i „dmuchnęła na diabła, który natychmiast

znikł”. Taka to odtąd była moc i przewaga jej orodzenia nad zepsuciem. Diabeł w tym wypadku okazał się mniejszym psychologiem od biskupa.

Morał? Jasny chyba jak na talarzu. Gdyby biskup ją zgromił, byłby ją tylko utwierdził w jej grzechu, czyli skutkiem byłby wprost przeciwny do zamierzonego. Tymczasem mądrym i ludzkim do niej stosunkiem wywołał w niej ambitną przekorę wobec zła i obudził w niej poczucie dobra, jako nowej, wyższej formy doznania.

A na koniec wniosek praktyczny: czyżby takiej metody nie należało zastosować do naszych euhuliganów? Hejże, społecznicy, wychowawcy i pedagodzy, pomyślcie nad tym biorąc przykład z tej tak mądrej psychologicznej, choć z pozoru naiwnej, średniowiecznej, prawdziwie że złotej legendy.

odpisy

str.
7

informacje i zaczepki

Ostatnio wybrano nowe władze na łódzkich wyższych uczelniach. Politechnika i Uniwersytet wybrały sobie nowych rektorów (PL - prof. mgr. inż. J. WERNER, UL - prof. dr S. HRABEC) na Akademii Medycznej już trzecią z kolei kadencję godność rektora sprawować będzie prof. dr M. STEFANOWSKI.

W nienieckim tygodniku satyrycznym „Eulenspiegel” (nawiasem mówiąc charakteryzującym się bardzo wysokim poziomem graficznym) publikowano ostatnio prace dwóch łódzkich rysowników Jerzego Iłsa i Jankowskiego i Kazimierza Mozolewskiego.

Coraz częściej dają się zauważyć w witrażach niektórych punktów usługowych wywieszki o dość enigmatycznej treści „zakład świadczy usługi dla ludności”. Przepraszamy, ale o co chodzi? Czyżby istniały gdzieś na świecie punkty usługowe świadczące usługi dla krasnoludków.

Łódzki „Ruch”, o którym w niniejszej rubryce pisaliśmy raz lepiej, raz gorzej, wypadł w ogólnopolskim współzawodnictwie jak najlepiej, otrzymując standard przechodni Ministra, Łączności.

Powołana przez Wydział Kultury Komisja wytypowała trzy punkty nadające się na lokalizację pomnika Stanisława Moniuszki. Są to: park kolejowy, park im. Matejki, oraz szkoła im. Moniuszki na Bałutach. Ostatnia decyzja należy od władz miejskich. Niżej podpisany głosuje za parkiem kolejowym.

Niektórzy uczestnicy odbywających się w Łodzi centralnych eliminacji IX Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego występowali również z tekstami przemówień politycznych. Np. pewna maturzystka z Lublina recytowała fragment przemówienia tow. Michaiłiny Tatarkówny-Majkowskiej.

Badania przeprowadzone ostatnio wykazały, że na 150 tysięcy studenów istniejących w naszym województwie jest zaledwie 1000, studenów prywatnych, a 15 proc. publicznych posiada wózek osobowy do użytku domowego.

Łódzka prasa doniosła, że 40 piekarzy z naszego miasta „zademonstruje” w Słupsku, Koszalinie i Kołobrzegu pokaz wzorowego wypieku. Jaka szkoda, że tak na co dzień łódzcy piekarze nie chcą demonstrować łódzianom jak winny wyglądać chleb czy bułka bez nadzienia w postaci gwoździ, drutu i cienko krojonych podkładów kolejowych.

J. W.

Dokończenie ze str. 1

dział: Ech! romantyk! — bo nie wypadło: mężczyzna, żona ma, dzieciaka aby patrzyć, a wiersze gryzmoły?

Zaczął wierzyć w złośliwą pomyłkę, w fatum powiatowe, które sprawiło, że on nie — Eugeniusz, tylko najzwyczajniej — Gienek, że do końca będzie siedział przy okrągłym stole między teściową, która zagląda mu w talerz i kaski liczy, a żoną, która coraz bardziej tyje, że nigdy nie zobaczy innego nieba niż to, które jest nad Placem Kościuszki, że zawsze będzie uczył w klasach od pierwszej do siódmej, odpływał z gramatyki, robił klasówki i zadanej innej szosy nie zobaczy oprócz tej w kostkę, nie spotka innego świata poza tym, w którym są: kino na pięć set miejsc, Dom Kultury, gospoda ludowa „Pod Bazylišką”, poczta, sąd, co piątek rynek, a co niedziela suma.

— Gienek! — wołała na niego nie — Tatiana. Nie certykowała się: „dawolna, wstańcie, Eugeniuszu, ja wam dałabym pierdlażenie...”, miała dwadzieścia cztery lata, co w powiatowym mieście L. równało się staropaniństwu, co oznaczało grzech, skazywało na pośmiewisko. Dobrze, Gienek — powiedziała, ale ślub kościelny musi być — zastrzegła, bo Eugeniusz do kościoła nie chodził, ludzie obgadawali go, że wiarą gardzi. Nawet ksiądz kiedyś na sumie kazanie miał, ręce w górę podnosił i trząsał nimi, jakby przeklinając: że ta dzisiejsza młodzież, co to w golfach czarnych chodzi (a Gienek golf czarny miał nie nie warta, Boga z sere wyrzuciła, rozpustę uprawia). Po tym kazaniu przysięgał sobie, że jej, Gienek, człowiekiem będzie, że ona go nawróci, że co ludzie się jej z szacunkiem kłaniają będą, a ksiądz ręce jej poda.

Powiedział — ślub w kościele może być, ale nie chcę o niczym więcej słyszeć. — Ślub przy wszystkich światłach wzięli — ładna para — mówili o nich. Sprawdził się do niej. Dotąd na sublokatorce mieszkał. Jej matka pokój im ustąpiła. Podanie do kwaterek złożył, ale mu powiedzieli, że poczekać musi, bo przecież tu się prawie nie buduje. Dopiero w planie będzie się bloki budować. Teściowa wyliczała: ile zarobi, a za ile zjadł, żona zrobiła się szerokokobitą i piersista.

— Ech, ty, romantyk! — prychnął kumpel i mieli rację. (Tych kumpi, to po prawdzie niewiele miał: jeden gimnazysta ze szkoły i drugi, Michał, z orkiestry). — Zastrany inteligent — kłękła teściowa. Na powiatowe warunki Eugeniusz inteligentem był, to fakt. Nie z tej kategorii co doktor, ksiądz, czy przewodniczący rady, ale też nie z tej co byle gryzmoły z biura: „Skup Nasion”. Eugeniusz szkołę pedagogiczną w Łodzi skończył. Wtedy obowiązywały jeszcze przymusowe praktyki — wysyłali do wsi i małych miast w województwie. Eugeniuszowi miasto powiatowe L. przypało w udziale. — Nakaz się skończy, na studia pójdę, — obiecywał sobie. Na razie odpracować musiał to, co państwo na niego w ciągu lat włożyło. — Potem dyplom zrobię. Zamieszkać w Łodzi, w akademiku, filologię polską skończyć, wiersze wydawać będę.

Trzy lata praktyki — kawał czasu — trzy lata w tym samym miejscu, wśród tych samych ludzi. Wiersze były do kitu, tak, ten redaktor musiał się w końcu znać na literaturze, inaczej redaktorem by nie był, co po wierszach? Tu, prowincji nowe siły potrzebne, obowiązek patriotyczny — dzieciom wiedzę dawać, kaganiec oświaty nieść.

No, to Eugeniusz w szkole podstawowej uczył: kółeczko z laseczką to „a”, sama laseczka — „l”, kółeczko z laseczką, sama laseczka — „jesz” — „Ala”. Świat jest wielki. Świat — podmiot, jest — o-rzeczenie, wielki przydawka — a wszystko razem nazywamy rozbiorem logicznym zdania. — Trzy lata minęły, i czwartym, i piątym się zaczął, więc już i stał zawodowy zdobył i żonę, i dzieciaka, na szczęście tylko jednego, chociaż w kwatunku powiedzieli, żeby się zgłosił jak dwójki się dorobi.

Jednego było za dużo. Nie wydarzone jakieś — pewno uroczono — mówiły sąsiadki — pewno kara boża za tego nihilistę — po nocach płakało, musiał rzucić swoją piśnię, a teraz powieść o życiu pisać zaczął, a że chorowite dziecko dużo kosztuje, musiał

szkole i chodzić po korepetycjach. Na szczęście, w mieście powiatowym L. — mieszkających siedem i pół tysiąca — wszędzie blisko, więc butów nie zdzierał. Za to, parę razy dziennie przechodził koło „Bazyliška”. Ano, zdarzyło się: wstał raz i drugi. Najpierw na małe piwo, potem na małą wódkę. Nie, nie zalewał się „w trupa”. Żona mu dokumentnie kiesznie wypróżniała. Już nie mówiła — romantyk — ale zastrany inteligent, zarobek to nie umie, a że za trzech. Ważna się zrobiła, bo awansowała na kierowniczkę sklepu bławatnego. — Jeszcze ci nie dam! — krzyknęła, Tatiana — i talerz mu sprzed nosa zabrała, kiedy jej mniej o dwadzieścia złotych z pensji przyniosł.

Spakował swoje manele w tę samą walizkę tekturową, za dziesięćdziesiąt złotych, trząsał drzwiami, poszedł. Cała noc chodził, walizki nie czuł, głodu nie czuł, chociaż obiadu nie jadł, ani kolacji. Chodził zakurzonymi drogami, o których takie niedobre wiersze pisał. Ale świat stał się tej nocy szeroki, a on na nowo — Eugeniuszem. Ale rano, zimno mu się zrobiło, ręce od walizki mu zdrętwiały, a przecież nie miał do ko-

ich deńterowało, że w mieście Łodzi wykształcenie otrzymał, ale jednocześnie podbechtywało, że przystulek...? — Niech kolega nie będzie taki mądry — powiedział koleś — ja do pracy kolegę zastrzeżenie nie mam, tylko o to wychowanie mi idzie... Wtedy kiedy nad ranem ziały Eugeniusza przejął do kości, i głód, pomyślał Eugeniusz, puszciniowski bohater romantyczny, że z tym całym zakiehanym romantyzmem to bajda, koniec, kropka, cześć, niech go jasna cholera weźmie, w powiecie nie ma mniejsza dla romantyków. No i Eugeniusz walizkę pod pachę wziął, bo się ucho od tego zastanawiania urwało, na szosę wyszedł, szosą do miasta L. wrócił, — a już ładny kawalek drogi odszedł, jak w wierszu, że „poszedł, gdzie oczy poniosły”. A pierwszą rzecz, jaką zrobił, to do fryzjera wstąpił, ogolił się kazał i włosy krótko na „jeza” przystrzyż. Za tego dwudziestozłotowego „zaskórniaka”. Zatrzymał się u kumpla, u Michała, z orkiestry zetemesowskiej. Poznał go w „Bazylišku”, wtenczas w czubie obaj mieli, wiersze mu swoje i nieswoje zadeklamował, a ten „zasunął” mu od romantyków, ale kolejkę postawił, i

i pana sędziego tam widziałno.

Jak się sprawa z nie — Tatiana skończyła, Michał powiedział: — Gienek, a może byś teraz za uczciwą robotę się wziął? — To co mam robić? — Pomyśl, rusz głową, zdolny jesteś, wymyślisz.

Myślał, myślał, wreszcie „Oniegina” na głosy rozpisal. Przyszedł z tym do kierownika szkoły. — Panie kierowniku, chciałbym zespół teatralny w naszej szkole założyć. Akurat tak się złożyło, że kierownik był po szkoleniu na sześciu wojewódzkim, gdzie dużo mówił o umasowaniu i krzewieniu kultury w powiecie, i szkoły za tę kulturę zrobiono odpowiedzialnymi. Nawet specjalny okólnik w tej sprawie przywiózł z Łodzi. A jak okólnik jest, to nie tylko można, ale i trzeba.

Trzy miesiące trwały próby do „Oniegina”. Najtrudniej było o Tatianę, nie tak ją sobie wyobrażam — zwierzał się Eugeniusz Michałowi, ale Michał odparował. — Uważaj, bo cię posadzą, że nieletnie deprawujesz. — A dziewczęta ze szkoły faktycznie kochały się na zabój w swoim nauczycielu, listy do niego pisały, i cukierki kładły na katedrze.

Premiera odbyła się w sali

Drogi Redaktorze!

W 22 (222) numerze (cóż za piękny zbieg cyfr!) „Odgłosów” ukazał się wywiad red. Karola Badziaka z Hanną Bedryńską. W wywiadzie tym wyczytałem pytanie: „Proszę Pani, o ile się orientuje dyrekcje teatrów: im. St. Jaracza i Teatru 7.15, bardzo chętnie widzą swych aktorów występujących w szklanym okienku. Dlaczego nie można tego samego powiedzieć o kierownictwie Teatru Nowego? Czyżby dlatego, że dyrektorzy tamtych teatrów również występują w telewizji, a dyrektor Piłarski prze stał to czynić?”

Zapytywana aktorka dyplomatycznie uchyliła się od odpowiedzi. Wobec tego pozwolę sobie odpowiedzieć ja w imieniu Telewizji Łódzkiej. Otóż...

1) Nie wiem, skąd red. Badziak zaczerpnął informację, że kierownictwo Teatru Nowego niechętnie widzi swoich aktorów na szklanym ekranie. Wręcz przeciwnie. Współpracujemy pod tym względem jak najlepiej i zarówno dyr. W. Piłarski, jak i dyr. A. Makarski idą nam jak najbardziej na rękę.

2) Na szczęście żaden z dyrektorów łódzkich teatrów nie uzależnia swojej zgody na wypożyczenie aktorów do telewizji od tego, czy sam osobiście jest zaangażowany jako aktor do TV czy nie.

3) Wprowadzić istotnie dyr. Wojciech Piłarski nie występował w ostatnich trzech spektaklach teatru Telewizji Łódzkiej, co jednak nie oznacza przerwania nadszanej współpracy. W. Piłarskiego uważamy za wypróbowanego i doskonałego aktora telewizyjnego i w miarę posiadanych przezeń czasu oraz zaistnienia ról leżących w jego empli nie omyślamy zaproponować mu udziału w spektaklu TV.

Naczelny Redaktor LOT

(—) W. ORŁOWSKI

ROMANTYK na skalę powiatu

go jechać w ten szeroki świat. Imię matki tylko pamiętał: Barbara, ale i to z opowiadania babki. Babka umarła, on do sąsiadów trafił, a że go tam bili, to uciekł, potem go państwo wzięło, a potem do powiatowego miasta L. wysłało. Do kogo więc pojeździe: do państwa? Do tego budynku z czerwonej cegły z napisem: PANSTWOWY DOM DZIECKA, gdzie mówiło się tak, właśnie niby w prawdziwym domu „sypialnia”, a to była sala, w której sypiało ich dwudziestu, „jadalnia”, w której jadało ich stu?

Zaden szeroki świat nie czekał na niego, w tym powiatowym było jego miejsce, chociaż, na początku, obcy mu był, a właściwie to i pozostał obcym. Kierownik szkoły do niego nie podawał, kierownik szkoły do księdza na partię szachów chodził, a do doktora Woźniaka na brydza. Stare kwoki z pokoju nauczycielskiego ciągle jeszcze milkiły na jego widok, a wchodził po dziesięć lekcji już piąty rok. Dowiedzieli się ludzie i tego, że on z Domu Dziecka, że tylko imię matki zna. Niejednokrotnie zdarzało się, że ktoś mu tam to wychowanie przystukowało. Wymówił. To może ta obecność w wodowala, że Eugeniusz wzrok miał „melancholijny” i że głowę wysoko nosił?

Tego ostatniego to ludzie nie chcieli wybaczyć, trochę

w oba policzki głośno, jak z dubeltówki, pocałował. — Dobrze — powiedział Michał — mieszkaj ile chcesz, żyj jak chcesz, tylko że ja wcześniej do roboty chodzę, o piątę wstaję, a chata ciasna. — Michał pracował w Zakładach Sprzętu Rolniczego, jedynych zakładach przemysłowych w powiatowym mieście L., bo tych mleczarskich nielut nie uważał.

Został u Michała. Żona po mieście latała. W milicji interweniowała, ale powiedzieli jej, że milicja w prywatne po życie się nie wtrąca. Teściowa w szkole awanturę urządziła, dzieciaki się zbiegły. Kierownik szkoły w życzliwości radził, żeby opinii miasteczkowej nie wzburzać i do domu wrócić. — Jaki dom? — zapytał — Eugeniusz. — Na dziecko pół pensji oddam, starczy? — Tak samo powiedział Eugeniusz na sprawie.

O pobicie z uszkodzeniem ciała go zaskarżyła. Ale na sprawie, Eugeniusz sam nie rozumiał dlaczego, przecież nikomu się nie zwierzał, tylko że ludzie to mają takie o-czy, co przez ściany widzą, wyszło, że to ona go szkodowała. Powiedzieli ludzie, że powód cichy był, spokojny, głosu nie podnosił, a że do „Bazyliška” czasem zaszedł? — Po drodze — to raz, a dwa, to kto w L. do „Bazyliška” nie wstępuje? Nawet

gimnastycznej. Pościągano krzesła z klas, zaproszono gości z partii i z rady, zasiadli w pierwszym rzędzie, kierownik przemówienie wygłosił o kulturze w powiecie i roli szkoły, brawa bili długie, potem Eugeniusz wyszedł i zapowiedział „Oniegina” w dwóch aktach”. Kuryna się przy drugim trochę zacięła i ani rusz nie chciała seamy z kryć i czerwonych ze zdenerwowania aktorów, ale to już było zupełnie głupstwo. Sukces „Oniegina” odniósł wielki. Eugeniuszowi kierownik szkoły pogratulował, i ci z pierwszych rzędów, i powiedzieli też, że Eugeniuszowi nagroda z państwowych pieniędzy się należy, na pierwszego maja mu ją dadzą. Potem były jeszcze przy przedstawieniu „Oniegina” dla ludności. Całe miasto mówiło o Eugeniuszu. A Eugeniusz w międzyczasie składany program przygotował, taki z muzyką, piosenkami, tańcami. Próby robił często, po lekcjach zostawało, w zimie wieczór szybko się robi, więc wieczorami uczniowie do domu wracali. Kilku z nich dwójki zlapało na półroczek. Wtedy delegacja matek przyszła do kierownika szkoły, a już przedtem przebakiwać zaczynało, że te próby — to coś za długo, coś się tam na nich dzieć musi — więc zaskarżyły Eugeniusza toczką w toczkę o to, o czym Michał zażartował. Oczywiście, kierownik niby nie wierzył, ale zespół rozwiązał. Kultury nie będzie. Najważniejsza rzecz, to dobra opinia. Moralna — powiedział. — Te go okólnik nie przewidział.

Trochę czasu minęło od tamtego wypadku. Teraz Eugeniusz dobrą opinię wypracowywał, na lekcje się nie spóźnia, na radach pedagogicznych milczy, kierownik z niego coraz bardziej zadowolony. — Młody, wyczerpieć się musiał, ale to święty nauczyciel, święty — powiedziała o Eugeniuszu, tak że nawet kwoki z pokoju nauczycielskiego uśmiechają się do swego młodego kolegi, Gienka. Nawet mu czasem która powie, że ona nigdy, ani na moment nie uwierzyła, że coś podobnego mógłby...

Te sympatie pokoju nauczycielskiego Eugeniusz rozumie. Kierownik szkoły od trzech tygodni go już do siebie na niedzielne herbatki zaprasza. Bardzo uprzejmy jest. Córka kierownika przejechała, mówiąc na miesiąc, że ja ze studiów wywalili. Córka jest akurat w wieku do wydania. — To też mówią.

Kolega Gienek — powiedział kierownik szkoły — o bardzo dobra siła. Coraz lepsze wyniki w swojej pracy osiąga — powiada. — Trzeba by o jakiejś nagrodzie pomyśleć.

Kolega Gienek. — Tak się przedstawia powiatowa odmiana imienia puszciniowskiego bohatera.

KOMUNIKAT o wynikach Konkursu

na utworów poetycki ogłoszonego przez Grupę Literacką „Prowincja 58” przy Oddziale Stowarzyszenia PAX w Łodzi z okazji IV Łódzkiej Wiosny Poetów.

Jury w składzie: Stanisław Czernik — przewodniczący Zbigniew Bienkowski Maciej Józef Kononowicz

Zygmunt Lichniak Marian Piechal Aleksander Rymkiewicz Janusz Sawaszkiewicz

na posiedzeniu w dniu 22 maja 1962 roku postanowiło nagrodzić następujące prace:

I nagrodą w wysokości 4000 zł pracę o nazwie „Krzywe Kolo”.

Dwoma równorzędnymi II nagrodami w wysokości po 2500 zł każda, prace oznaczone godłami „Rudy” i „Kompozycja” trzema równorzędnymi III nagrodami w wysokości po 1500 zł każda, prace oznaczone godłami „Heliotropia”.

„Komar”, „Sek”. Nagrodą specjalną w postaci dzieła sztuki ufundowaną przez Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi przypadła pracy oznaczonej godłem „Zofia”.

Po otwarciu kopert z nazwiskami okazało się, iż autorami nagrodzonych prac są:

I nagroda — godło „Krzywe Kolo” — Mieczysław Stanolik, Biełsko-Biała.

II nagrody — godło „Rudy” — Henryk Cala, Wrocław, godło „Kompozycja” — Benedykt Krystek, Łódź.

III nagrody — godło „Heliotropia” — Jan Dziuba, Łódź, godło „Komar” — Alina Szafrańska, Gdańsk, godło „Sek” — Mieczysław Czuma, Kraków.

Laureatem nagrody specjalnej Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi okazał się Jerzy Zbigniew Górzański z Warszawy autor pracy oznaczonej godłem „Zofia”.

„Moje życie...”

Dokończenie ze str. 7

wiedzi w wielu kontekstach jako porównanie, metafora, parafraza (str. 14, 21, 22, 32, 36, 41, 66, 136). W ten sposób można dojść do jakiegoś stylu poetyki Timofiejewa z modernistami, chociaż ich wpływ został tu znacznie wyciszony doświadczeniami skamandrytów, z którymi Timofiejew dzielił niejedno. To właśnie sprawia, że atmosfera tej poezji jest przejmująco melancholijna, czasem aż posępna, choć prześwietlona złudzeniami i nadzieją, przysłany weselem i spokojną rezygnacją, iż „czas... rozwiewa pamięć”. Dlatego tak mało soczystych barw, dominuje czerń, i szukanie, bezowocne szukanie wytnięcia w naturze czy jej darach (kwiaty).

Taki ogląd świata nie jest nakazem jakiejś poetyki, jest przede wszystkim liryczna kondensacja bardzo osobistych przeżyć i doświadczeń poety.

EWA OSTROWSKA

STANISŁAW KASZYŃSKI

A CLEVER ANIMAL

In hot countries the forests are large and dark. The trees grow very thick and high there. There are such forests in Asia, Africa and America.

This is the home of clever animals, of monkeys. They live in the trees and sleep there. The monkey is a quick animal.

When the monkey wants to go quickly from one place to another, it runs along trees. Monkeys run from one tree to another, and all the time they make a noise.

When night comes they roll themselves into a ball and sleep together in the high trees.

Monkeys eat vegetables, fruit and nuts. But sometimes they kill birds and eat them.

The monkey is a clever animal. People often teach them to do funny tricks.



TADEUSZ PAPIER



Magdalena

o rannej godzinie

To Kostek powiedział, że najgorsze chwile przeżyłam nie w więzieniu, ale po wyjściu z więzienia. Kostek? Syn Geografy, student. Ten sam wariat, który pisał do mnie te głupie listy. „Piękna jesteś, Magdaleno, poranek, wiosna”. Albo: „Ach, Magdaleno!” — i tak dalej w tym sosie. Mnie takie bajerowanie nie bierze. Za stara jestem na to. Zresztą, mówiłam już kiedyś: miłoścy mi nie w głowie. Nie, do matki nie wróciłam. Dlaczego? Po co pytać? Matki mi żal, ale nie chciałam wracać do tego domu, w którym wszystko się zaczęło. Pan sobie wyobraża te wizyty sąsiadek? Boże! Drzwi by się nie zamykały! Odpowiadać na głupie pytania i wysłuchiwać wyrazów współczucia! To nie dla mnie. Clarki mnie przechodzą na samą myśl o tych rozmowach. A poza tym, znam wszystkich w kamienicy od podszewki. I sta-

rych i młodych. Niejedno mogłabym o niektórych powiedzieć. Ojciec i matka nie wiedzą, a ja wiem. Po co więc byle kto ma sobie na mnie strzepić język. Z ojcem się widziałam, tak. Wie Pan, myślałam, że to będzie gorsze spotkanie. Po ojcu można się było wszystkiego spodziewać. Myślałam, że odpowie mi zdaniem w rodzaju: „Ostrzegalem cie”. Ale nie, podszedł do mnie, położył mi rękę na ramieniu i nic nie powiedział. Dobrze, że nie nie powiedział. Znam go i dziwię się, dlaczego tak postąpił. Nie wiem co się z nim stało. Ale byłem z tego zadowolona.

Wiem do domu nie poszłam. Kostek powiedział, że dobrze zrobiłam. Myślałam, że zatrzymam się u ciotki na Chojnach, ale ciotka była na wczasach w Jeleniej Górze. Miała jeszcze tydzień urlopu. Prawdziwy pech. Mariola zaproponowała, abym poszła do niej. Nie

ale nie o to chodzi. Co do mnie, to niejedną już powiedział, że i w worku dobrze wyglądam. Już taką cholerną mam urodę czy szyk, sama nie wiem co. Najwięcej na ten temat usłyszałam od Narcyza. Za mocno się sparzyłam na tym powodzeniu, aby się z tego cieszyć. Rozumiemy się? To dobrze.

Nie powiem, facet Ireny przyjął nas dobrze. Zresztą Irena wszystko mu o nas opowiedziała, więc nie musialiśmy się kłopotować. Mnie się nie podobał, na mój gust był trochę za niski i ziemisty na twarzy, z pewnością bym go nie wybrała, no ale Irenie się podobał, co mi do tego. Irena mówiła na niego Łodek, diabli wiedzą co to za imię, był technikiem dentystycznym, podobno nieźle zarabiał. Ale nie sądzę, że Irena wyszła za niego dla forsy. Poznali się w szpitalu, Łodek miał tam kolegę lekarza i od czasu do czasu spotykał się z Ireną. Nie dziwię się, że wpadła mu w oko.

Irena więc chciała, żebyśmy były na weselu. Ze swojej strony miała tylko Mariolę i mnie. Ja byłam dla niej jak siostra. Poprosiła jeszcze dwie koleżanki, również pielęgniarki. Jedna około czterdziestki, bardzo głoszna i strasznie fajna. Druga za to prawdziwe kurczę. Nie dałabym jej więcej niż dwadzieścia lat, prawie się nie odzywała. Poczulał do niej straszną sympatię. To pana trochę dziwi, ale taka już jestem, albo mi się kto spodoba, albo nie. Łodek przeprowadził ojca, emeryta tramwajarza i na przyczepę jakąś stryjenkę czy wujenkę. Ta wujenka miała chyba pięćdziesiątkę i włosy miała siwe, poznałam zaraz,

mimo że sobie ufarbowała je na rudo. Okropny bab-sztyl. Grała wielką panią, na nas ledwie zwracała uwagę. Mariola sobie z tego nie nie robiła, ja również, chociaż diabli mnie brali. Tak się wymądrzała. Nie chciałam, aby pan myślał, że jestem z kamienia, ponieważ ledwie wyszłam z paki, a już zaczęłam nosa zadzierać do góry. Nie. Byłyśmy zgodne z Mariolą, że to niemożliwa baba. Chciała wszystkimi rządzić, a my nie rzuciłyśmy się jej na szyję, to wszystko. Niech pan się nie dziwi, ale była tak, że człowiek nawet bez powodu nie może patrzeć na drugiego, a co dopiero na

nią. Wydawało mi się, że jest zdolna do wszystkiego. Nie unoszę się, tak było. Jeszcześmy nie siedli do stołu, a ta ruda małpa powiedziała: „Łodek, nie zaprosiłeś swoich kolegów, są panielki, na pewno wyposażone”. Według niej miał to być kawał, a wyszło świństwo. Najgorsze, że ci koledzy Łodka mieli przyjść po ślubie i bałam się, żeby ta wujenka nie zgrywała się w ten sam sposób przy nich. Chciałam jej odpalić, ale Mariola mi przerwała: „Pani sobie liczy trzy razy tyle

Dalszy ciąg na str. 10



A STRANGE FELLOW

Mark Twain was famous in his days as a humorist. He liked very much to tell funny stories and he also liked to play jokes on his friends.

One day a friend of his lost his ticket in the train. Mark Twain said:

— I'm sorry, but I have very little money with me. The friend was very sad. Mark Twain said:

— However, when the conductor comes through the train to collect the tickets, you can hide under my seat.

The conductor came through the train. Mark Twain gave him two tickets, one for himself and one for his friend under the seat.

Mark Twain said to the conductor in a loud voice:

— My friend is a very strange fellow. He doesn't like to sit on the seat. He likes to lie on the floor under the seat.



KUNSTLIEDER

Alle singen gern. Aber von vielen Liedern wissen wir nicht, wer den Text und wer die Melodie geschaffen hat. Weil sie aber sehr schön sind, singt das ganze Volk diese Lieder. Solche Lieder nennen wir Volkslieder.

Es sind auch viele Melodien deren Dichter und Komponist uns bekannt sind. Diese Lieder singen wir auch gern und nennen sie Kunstlieder.

Franz Schubert ist ein Komponist, der Kunstlieder geschrieben hat. Über 600 Lieder hat er in seinem kurzen Leben geschrieben. „Das Wandern ist des Müllers Lust“ ist ein sehr bekanntes Lied:



I went to the market to sell hats. The day was hot, and the way was long. I wanted to rest a little.

I saw a large tree, put my hats on the ground, took one of the hats and put it on my head. Then I lay down and soon fell asleep.

When I woke up, I could not find my hats.

— Where are my hats? — I cried and looked up. And what did I see?

I saw many monkeys in the tree, and each monkey had a hat on its head.

I cried:

— Give me back my hats!

But the monkeys did not understand me. I got very angry, took off my own hat, threw it on the ground and cried:

— If you want all my hats, you may take this hat too! And what do you think? The little monkeys did the same. Each monkey took off its hat and threw it on the ground.

I was very glad. I quickly took all my hats and went to the market to sell them.

— 50 —

DAS WANDERN IST DES MÜLLERS LUST

Text: W. Müller

Musik: F. Schubert

Das Wandern ist des Müllers Lust, das Wandern.
Das Wandern ist des Müllers Lust, das Wandern.
Das muss ein schlechter Müller sein,
dem niemals fiel das Wandern ein,
das Wandern, das Wandern, das Wandern, das Wandern.

Vom Wasser haben wir's gelernt, vom Wasser.
Vom Wasser haben wir's gelernt, vom Wasser.
Das hat nicht Ruh' bei Tag und Nacht,
ist stets auf Wanderschaft bedacht,
das Wasser, das Wasser, das Wasser, das Wasser.



A SAD STORY

— 51 —

My friend and I had a holiday in New York and we were staying at a forty-nine-floor hotel.

We went to the theatre and returned to the hotel at a late hour.

— The lifts do not work, — said my friend. — To make the time fly fast, I shall tell you merry stories for the first twenty floors. On the next twenty floors you will sing songs. Then for the last nine floors I shall tell you sad stories.

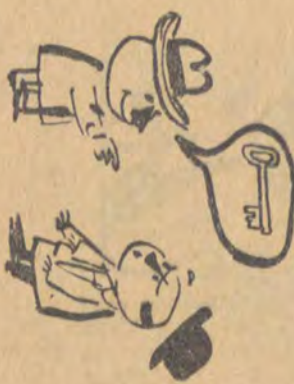
So we started our long climb. My friend told merry stories, then I sang songs and we reached the fortieth floor.

I said:

— Now, my dear, it is your turn to tell some sad stories for the last nine floors.

And my friend cried:

— Oh, I have a very sad story to tell you. We have left our keys downstairs.



— 51 —

Das sehn wir auch den Rädern ab, den Rädern.
Das sehn wir auch den Rädern ab, den Rädern.
die gar nicht gerne stille stehn
und sich bei Tag nicht müde drehn,
die Räder, die Räder, die Räder, die Räder.

O Wandern, Wandern meine Lust, O Wandern!
O Wandern, Wandern meine Lust, O Wandern!
Herr Meister und Frau Meisterin,
lasst mich in Frieden weiterzieh'n
und wandern, und wandern, und wandern, und wandern.

ER HILFT PETER

Es war ein schöner Sonntag. Ich ging meinen Freund besuchen. Er heisst Peter und er wohnt zusammen mit seiner Schwester Marie und seinem Bruder Franz. Ich klingelte. Die Tür öffnete Marie:

— Guten Tag, Fräulein Marie.

— Guten Tag, bitte kommen Sie herein.

Dalszy ciąg ze str. 9

lat co ja, to i więcej musia-

ła pościć".
Dopiekła jej tymi latami i czułam, że na tym się nie skończy. Baba była zła, nie ukrywała swojej niechęci. Za stawiłyśmy z Mariolą stół, pomagał nam ojciec Łodka, a ta ruda małpa siedziała na krześle i kurzyła papierosy. Nawet nie kiwnęła palcem, żeby w czym pomóc. Potem wszyscy zaczęli się szykować do ślubu. Chcieli mnie zabrać ze sobą, ale się nie zgodziłam. Za nic w świecie nie pokazałabym się teraz w żadnym urzędzie, chociażby tam czekoladę rozdawali. Nie mogłam i koniecznie, Mariola też by chętnie została ze mną, jednak musiała być świadkiem Ireny, więc pojechała. Nie było ich z półtorej godziny, a ja tymczasem porządkowałam mieszkanie, wystawiłam wódkę pod zimną wodę, ułożyłam kwiaty na stole. Byłam w okropnym humorze, wyzywałam się od wariatki, ale co to pomogło. Wypiliam jednego, żeby się otrzeźwić, ale nie to nie dało. Więc uściadam na tapczanie i zaczęłam palić Grunwaldy jeden po drugim.

Wreszcie przyjechali, lecz bez młodej pary. Irena została z Łodkiem u fotografa. Zjawili się natomiast koledzy Łodka, ten przyjaciel lekarz, gość był starszy,

czterdziestka wisiła mu na karku i drugi kolega, również technik, z modną bródką. Podejrzewam, że sobie ten zarost zapuścił umyślnie, bo brodę miał gdzieś schowaną, jakby mu ją kto przyciął. Wyobrażam sobie, jakby wyglądał po ogoleniu. Wujenka była w wyśmienitym humorze, zaczęła nas popędzać, poprawiać nakrycia. W ogóle była bardzo ważna. Wyrażnie kleiła się do tego z bródką, mówiła na niego „panie Tośku”. Pan Tosiek jej przyświadczał, ale mrugał do nas porozumiewawczo. Z miejsca poznałam, co to za facet, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że lata za spódniczkami, jak ten Albin, któregośmy kiedyś tak okantowali. Sama nie wiem, skąd mi ten Albin przyszedł do głowy, przecież był zupełnie niepodobny do pana Tośka. Chyba, że podobieństwa należy się dopatrywać nie tylko w zewnętrznym wyglądzie. Obydwaj mieli coś wspólnego w oczach, no i w ruchach. Jak Boga kocham, ten Tosiek coraz więcej przypominał mi Albina. Irena wreszcie przyjechała i natychmiast zasiedliśmy do stołu. Chciałam zająć miejsce przy ojeu Łodka, ale tak wyszło, że z jednej strony miałam Tośka, a z drugiej lekarza. Wujenka usiadła z drugiej strony Tośka i obok pana młodego. Teść, który się prawie nie odzywał i ustępował każdemu z drogi, znalazł miejsce między Ireną a Mariolą. Dalej siedziały koleżanki Ireny. Zaczęliśmy przepijać zdrowie młodej pary. Wujenka w dalszym ciągu przybliżała się do Tośka. Grała rozkosznego kociaka, żeby pan widział jej miny,

Gdakała przez cały czas, aż się zbierało na wymioty. Nie dopuszczała nikogo do głosu. Nawet ta starsza pielęgniarka przy niej umilkła. Mariola przygadała jej, ale ona udała, że nie słyszy. „Co mówiała?” — zapytała. Wiem, że słyszała, bo wszyscy słyszeli i ojciec Łodka spojrzał wystraszony na nią, ale tak umyślnie pytała, żeby Marioli dokuczyć. „Pytałam czy wujenka nie będzie miała nie przeciwko tańcom” — odparła Mariola. Naumyślnie powiedziała na nią „wujenka”, a tamta jakby szlag trafił. Była trochę podpiła i już kilka razy, nieśmiało na początku, proponowała ogólnego „brudzia”. Z Ireną zresztą i z Łodkiem zaczęli sobie mówić na „ty” zaraz po ślubie, jeszcze w urzędzie. Koniecznie chciałyby się „odmłodzić”, a tu Mariola wyskoczyła z tą „wujenką”. „Pewnie, że tak” — odparła. Nie dała się wybić z konceptu. Niezależnie od tego, że była głupia jak but, była także zarozumiała. „Moja córko — rzekła do Marioli — gdybyś rzeczywiście chciała tańczyć, to byś już nastawiła ten

gramofon. Ale ty się tak zasiedziałaś...” To ostatnie słowo „zasiedziałaś” powiedziała z takim przyciskiem, że nie trzeba było nikomu więcej tłumaczyć. Ale Mariola parsknęła śmiechem. „Dobra jest” — powiedziała.

Nastawiła płytę z jakimś wściekłym boogi-woogi. „No, Magda, zobacz czy ci się nogi nie zasiedziały” — powiedziała Mariola. Wiedziała o co jej chodzi. Podałam się do stołu, bo Tosiek już kłaniał się w pas przede mną. Łodek zaprosił Irenę, ale mu odmówiła, chciała, żeby koleżanki potańczyły. Więc Łodek wziął tę młodszą pielęgniarkę, Jołę. Doktorowi wypadło się uklonąć wujence, uczynił to przykładając rękę do serca, strasznie fajny ten doktor, lecz wujenka podziękowała. Była czerwona, myślałam że się udusi ze złości. Nie dość, że Tosiek przy pierwszej sposobności odwrócił się od niej, do tego Mariola nastawiła tę zwariowaną płytę. Nie dla niej był ten taniec. W końcu doktor wziął drugą pielęgniarkę i okazało się, że dobrze trafił, bo ta grubaska tańczyła jak fryga.

Nigdy bym ją nie posadziła o to. Więc kręciliśmy się jak wariatki po pokoju, a wujenka wyglądała jak pomidor. A na domiar wszystkiego ojciec Łodka przysiadł się do niej i zaczął ją zabawiać. To już był szczyt jej udręki, pękałyśmy ze śmiechu. Mariola nastawiła płytę po raz drugi. Tosiek tańczył dobrze, ale trochę po lokajsku. Pan rozumie co chce przez, to powiedzieć? Za bardzo się popisywał. Nie lubię sztucznych wygibasów. Nie wiem, dlaczego znowu przypomniał mi się Albin, i ten taniec z nim kiedyś. Tosiek coraz więcej mi przypominał Albina, byłam pewna, że obydwa są ulepiani z tej samej gliny. Być może, że Tosiek tak samo podrywał młode dziewczuszki jak Albin, na pewno to robił, lecz kiedy tamten taniec z Albinem ostatecznie nie był dla mnie przykry, to teraz tańczyłam prawie z obrzydzeniem. Jeśli pozwoiliam sobie kręcić i podskakiwać jak wariatka, to tylko dlatego, aby zrobić na złość tej zakłichej wujence. Tosiek zaś myślał, że bawię się dosko-

nale i był bardzo zadowolony. Siedliśmy potem do stołu i Tosiek zapytał się czy znam „Poletko Pana Boga”. „Nie czytałam” — odparłam. „Dlaczego pan pyta?” — wtrąciła się wujenka, której złość już nieco przeszła. „A bo tam jest jedna taka dziewczyna, nazywa się Jill. Miła Jill”. „Co to za dziewczyna, panie Tośku?” — zapytała wujenka. „Bardzo fajna dziewczyna — odparł Tosiek. — Bardzo się lubiła całować, no, i tego”. „A więc dlatego pan mówi o niej?” — wujenka przejechała palcem po nosie Tośka. „Ta Jill bardzo mi przypomina pannę Magdę. Ale raczej odwrotnie. Panna Magda jest do niej podobna. Bardzo ładna dziewczyna. Wszystko ma na swoim miejscu”. Nie znałam książek, więc nie mogłam powiedzieć, czy powinienam się cieszyć z porównania, czy też nie. Może ta Jill była rzeczywiście fajna, a to że lubiła się całować nie mi nie przeszkadzało, ale Tosiek mówił kompletnie obrzydliwym tonem. Widziałam, że leci na mnie.

Cdn.



Pomyślmy o... „RÓŻY“

Gdyby Polska zdołała uplać się chłabić w pierwszej dziesiątce, cała prasa, jak jeden mąż, doniosłaby o tym poważnym sukcesie polskiej telewizji na forum międzynarodowym, i wtedy każdy czytelnik dowiedziałby się: co to jest Montreux? Niestety drodzy czytelnicy, międzynarodowy aplauz dla naszej młodej Muzy jest tylko sennym marzeniem Waszego Kowalskiego, wszakże Montreux istnieje i właśnie tam zakończył się w maju drugi Międzynarodowy Konkurs Telewizyjny. Wzięły w nim udział telewizje dwudziestu państw, między innymi: czeskosłowacka, węgierska, bułgarska, ba! — nawet japońskiej nie brakowało. Telewizja konkuruje więc z filmem już nie tylko pod względami komercyjnymi, lecz w niedalekiej przyszłości — tak chyba można przypuszczać — zagrozi tradycyjnym festiwalom filmowym jak w Cannes, czy w Wenecji. Następny, planowany na rok 1983, festiwal w Montreux odbędzie się przy udziale publiczności, gości zagranicznych, w specjalnie wybudowanym Pałacu Telewizji, a okrasę stanowić będą gwiazdy telewizji. Szwajcarzy mają główkę do handlu, trzeba to przyznać...

Festiwal w Montreux nie jest jedną z odmian imprez. We Włoszech odbywa się Prix Italia, inni — w Monte Carlo, jednak żaden z nich, łącznie z Montreux, nie dorobił się

rangi międzynarodowego wydarzenia artystycznego. Nie należy się dziwić takiemu przebiegowi sprawy, gdyż telewizja jeszcze nie posiada własnej historii, ani pozycji archiwalnych, ani wreszcie zbyt wielu teoretyków telewizyjnej sztuki. Wszystko przyjdzie z czasem. Wszystko trzeba wypracować. Dlatego też i dotychczasowe festiwale telewizyjne są eksperymentalnymi próbami, których naczelnym zadaniem — poza wymianą doświadczeń, poglądów artystycznych — jest znalezienie jednolitego kryterium programowego. Okazuje się bowiem, że brak świadomej formy — tej podstawowej tkanki artystycznej, jest przywilejem nie tylko polskiej telewizji, ale bołącząką telewizji w ogóle. Telewizja nie znała dotąd własnego języka, lub inaczej — stylu programowego, bez którego żadna dziedzina sztuki nie może się obejść. Telewizja nie posiada jeszcze żadnej własnej szkoły, żadnego pierwowzoru, artystycznego; wiadomo, że ma być połączeniem teatru i filmu — ale nie wiadomo, jak wykonać to połączenie, żeby stworzyć właściwą insygnie dla dwunastej Muzy Apollina. Na pewno można powiedzieć, że telewizja przez pierwszy okres; niemy — już przeszła, jednakże, należy również przyznać, że nie znalazła swojego Einsteina. Z takich więc przyczyn i Fe-

stiwal w Montreux nie mógł pretendować do klasycznego pokazu festiwalowego w pełnym tego słowa znaczeniu. W dodatku, organizatorzy Montreux, których główną ambicją jest walka o podniesienie poziomu widowisk rozrywkowych (takie przeważają na Zachodzie), zacieśnili kierunek festiwalowych pokazów wyłącznie do jednego typu programu — i to w ściśle określonej formie: widowisk rewiowych, „variete”. Wiadomo, że ten gatunek schodzi powoli do lamusa, jako przeżytek, stąd też taki charakter festiwalu w Montreux wzbudził wśród samych inicjatorów Festiwalu żywą polemikę. Naprawdę podobnie, następny Festiwal będzie miał inne założenia. W tegorocznym, na dwadzieścia narodowych telewizji, które w sumie dały dwadzieścia trzy programy, tylko dwie TV Szwedzka i — uwaga! — TV Czechosłowacka (Złota i Srebrna Róża Festiwalu) odznaczyły się możliwym poziomem artystycznym. Trzecia nagroda dla Telewizji NRF była już mocno problematyczna, a z dalszych wyróżnień na wspomnienie zasługuje jedynie program jazzowy TV Kanadyjskiej.

Rewia na małym ekranie? — ten przecież aż prosi o kameralność wystąpień — nie ma żadnych szans na przyszłość. Można by zastanowić się nad propozycją kabaretu

literackiego z elementami rewiowymi, mniej więcej w stylu „Kabaretu starszych panów”. Powiadam — w stylu gdyż nasz „Kabaret” jest jakimś niezwykle mglistym prototypem takiej propozycji. Inne, rodzime audycje rozrywkowe nie mają żadnego w ogóle sprecyzowanego wyrażenia charakteru, nawet i tego, przeżytego „variete”. Audycje Kydryńskiego to tylko przegląd piosenek — nie więcej, a uważa się je za jedne z lepszych. Za żalostną namiastką widowiska rewiowego można by na upartej przypisać program, który uparcie lansuje Poznań, a w którym można znaleźć obok piosenki, scenki pantomimiczne, jazz, oraz coś, co chyba ma być baletem. Reszta naszych programów rozrywkowych przynosi po prostu żywym na małym ekranie formy estradowe. Jakos nie widać nawet minimalnego wysiłku, w celu poszukania nowej koncepcji wyłącznie telewizyjnej. A szkoda. Wcale nie starsza od naszej, TV Czechosłowacka reprezentowała w Montreux ambitne i ciekawe widowisko, („Stracona rewia”). Nie sądzę więc, aby wystarczyło pocieszać się stwierdzeniem, że ogólny poziom programów rozrywkowych na całym świecie jest niski i że daleko mu do doskonałości. Telewizja nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Ale pozwólcmy sobie jednak na luksus optymizmu i założymy, że nasza krajowa produkcja TV będzie miała w tym słowie choć jedną swoją literę.

Kowalski



Listy Telewidzów

„Odgłosy” zapraszają do zabrania głosu w szczerej, nieskrępowanej dyskusji o programie telewizyjnym. Ob. Jan Piasecki swoje zdanie wypowiedział może nieco lapidarnie, lecz w szczery i nieskrępowany sposób. Miał odwagę napisać to, co myśli dziesiątki tysięcy telewidzów ze sfery robotniczej. Edith Piaff, albo Armstrong są wielkimi śpiewakami, ale nie każdemu się podobają... a robotnikom na pewno nie.

„Łódź prezentuje nam od czasu do czasu „Muzykę łatwą, lekką i przyjemną” z L. Kydryńskim. I powstaje pytanie, dlaczego program ten nadawany jest z Łodzi? — Kydryński, Przybylska, Sanctor, Rolska i tak w kółko panie Macieju. Czy w Łodzi nie ma wykonawców pieśniarzy, śpiewaków? — Nyc-Wronko, Lidia Skowron, Lena Dalecka, Stratyńska, Debichowa, Sidorowicz, Woźniakowski, Paulos Raptis... (—) jest z czego wybierać! A na przykład orkiestra Ciuksy, jedyna w Polsce, posiadająca wielu zwolenników, a jeszcze nie była na antenie telewizyjnej. A wszyscy dlatego, że listy telewidzów, zdaniem TV, prezentują nie zawsze najszlachetniejsze gusty. A może to telewizja nie ma racji?

Mamy swoich wykonawców, i ich też chcemy posłuchać. I Kydryńskiego mamy swojego — łódzkiego A. Krótkowskiego...

Udzielcie urlopu monopolistom z Warszawy, pokażcie naszych z Łodzi. Sprawcie, żeby łódzkie koncerty były naprawdę muzyką łatwą, lekką i przyjemną, a przede wszystkim łódzką.

(Nazwisko i adres znane redakcji)

Nie ulega wątpliwości, że „Muzyka łatwa, lekka i przyjemna”, chociaż nadawana w programie Łodzi, nie jest audycją łódzką. Poza jednym nazwiskiem: reż. Janusza Rzeszewskiego, wszystkie inne są importowane: p. Kydryński aż z Krakowa, piosenkarki ze stolicy... Podobno w Łodzi zabrakło talentów (sic)...

Czy wykonawcy, wymienieni w liście czytelnika, zdołaliby zaspokoić gusty łódzian? — kwestia wydaje się dyskusyjną. Czekamy na wypowiedzi.

Jednocześnie ogłaszamy Ankietę-Konkurs pod hasłem: **NAJLEPSZA AUDYCJA TYGODNIA**. Piszcie do nas, która z audycji szczególnie się Wam podobała i dlaczego. Prosimy również o wnioski i sugestie. Najciekawsze wypowiedzi zostaną opublikowane, przewidujemy także premie książkowe.

TELEWIZJA

Nasz wywiad z

Andrzejem Dołęgowskim



Foto: E. Kudaj.

Andrzej Dołęgowski — lektor radiowy i „ojciec” radiowej powieści „Zagryzłakowie”, autor szkiców obyczajowych „Dziotłoma mowa o miłości”, autor tekstów piosenek znanych z radia, estrady, telewizji itp. itd.

— Adolf Rudnicki w swojej ostatniej książce pt. „Obraz z kotem i psem” twierdzi, że jestes dobrą sędzią. Wobec tego powiem ci, co sądzisz o możliwościach programów rozrywkowych Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego, z którym jak się orientuję, utrzymujesz związki trwałe, ale nieformalne?

— Jeśli można, proszę o uchylenie pytania. Możliwości nigdy bowiem nie są zgłębione do końca. Natomiast chciałbym zwrócić uwagę, że poowa najbardziej popularnych audycji rozrywkowych Telewizji łódzkiej jest w Łodzi. Bo oto Kabaret Starszych Panów, czyli 50 proc. programu nadaje Warszawa, a „Muzyka łatwa, lekka i przyjemna”, czyli drugie 50 proc. nadaje Łódź. Te same proporcje można odnieść do radia. Na Podwieczorek przy Mikrofonie i Zgaduj-Zgadule monopol ma Warszawa, a na wesoly Autobus i Program z Dywanikiem — Łódź. Wynikałoby z tego, że Łódź nie tylko posiada możliwości, ale także już efekty. Ostatnio realizatorzy tych audycji otrzymali nawet zespołowe nagrody od prezesa Komitetu ds. Radia i Telewizji.

— Ale o ile dobrze pamiętam, żaden z ludzi pióra piszących teksty do tych audycji nagrody nie otrzymał.

— Ależ mój drogi, powinienś zdać sobie raz wreszcie sprawę z tego, że Telewizja jest ponad tak blache sprawy, jak autorzy. — Telewizja jest kwintesencją wszystkiego co dotychczas było, skupia ona i majoryzuje w sobie wszystkie gatunki sztuki...

— Sama niestety, sztuka się przez to nie staje, Czy tak chciałśś powiedzieć?

— Niestety, ze względu na swój szeroki zasięg Telewizja zmierzona jest schlebnieć przedmiotowi. W tym tkwi siła jej oddziaływania, a w tej siła — słabość.

— No dobrze. Przekonałś mnie, że Telewizja jest zmuszona. Ale dlaczego ty, autor „Dziotłomy” zamiast zająć się np. uprawianiem poważnej pedagogiki społecznej, ku czemu masz

niewątpliwie dane, zajmujesz się wyłącznie piosenką?

— Niestety, jest dwóch Dołęgowskich. I pierwszy musi zarabiać, aby drugi mógł pracować. A poza tym nie masz racji, gdyż piosenka to jednak wielka przyjemność.

— Owszem. Ale piosenka żywa, rymiczna, dowcipna, a tu ciągle słyszymy tylko piosenki o tekstach refleksyjnych, pseudopoezytych, przyparowanych banalna, ciekawa muzyka.

— Moim zdaniem wypływa to nie z braku dobrych autorów czy kompozytorów, ale przede wszystkim z braku odpowiednich interpretatorów. Przecież u nas piosenkarzy charakterystycznych można policzyć na palcach jednej reki. A poza tym, np. w Telewizji piosenkom brak jest rozmachu inscenizacyjnego, słowem tego wszystkiego, co nazywamy rewią.

— Zapominasz, że prostota i oszczędność to rzeczy piękne.

— Ale stosowane na dłuższy dystans grożą monotonią.

— Ażebym nie postębił między nami rozbieżności proponując zmienić temat. Czy twoja powieść radiowa „Zagryzłakowie” jest w zamiarze pastiche czy satyra na midłych, nudnych i zakłamanych Małysiaków?

— Otóż na pomysł jej wpadłem podczas przeglądania sterczo wyboru mądrości rabinów. Znasz tam bowiem zdanie, że największym wrogiem człowieka są jego domownicy.

— Wróćmy do Telewizji. Co według ciebie stanowi największą szansę TV?

— Moim zdaniem najcenniejszą możliwością Telewizji jest ukazanie w bezpośredniej rozmowie ludzi obdarzonych charakterem i głębią umysłu.

— Chodzi ci o popularyzację tzw. typów osobowych?

— Tak. Tego nam chyba najbardziej potrzeba.

Rozmawiał: KAROL BADZIAK

Na oryginalny pomysł wpadła redakcja programu dziecięcego telewizji włoskiej. Otóż wprowadzono tam audycje, w których występuje słynny twórca filmowy Vittorio de Sica. Przechadza się on wśród baśniowych dekoracji opowiadając bajki, albo czyta je siedząc w fotelu. Bezpośrednio po tym programie odbywa się krótkie uzupełnienie, w którym aktorka Isa Barzizza rozmawia z grupą dzieci o widzianej audycji. Mali telewidzowie wyrażają swe życzenia, uwagi i dzielą się wrażeniami. A może warto i u nas wprowadzić tego rodzaju audycje dla dzieci?

Na zdjęciu: gwiazdka telewizji włoskiej Dominique Boschero.

27 kwietnia bieżącego roku, amerykańska sieć telewizyjna ABC nadała specjalnie dla młodzieży kilkogodzinny program w którym



wziął udział pierwszy kosmonauta USA — John Glenn. Audycję bardzo sprawnie przeprowadził Jules Bergman. Kosmonauta opowiadał przede wszystkim o swoim locie i przygotowaniach do niego. Następnie Glenn omawiał budowę pojazdów kosmicznych i sztucznych satelitów, oraz poświęcił kilka zdań na temat Międzynarodowego Klubu Astronautów. Na pytanie, co sądzi o locie na Księżyc, Glenn odpowiedział, że odbędzie się on już w niedługim czasie i powinien trwać około 30 godzin.

Polecamy audycje

W czwartek (7. VI.) o godz. 19.30 weźmiemy udział w „Spas” po Kłowie” (drugi po Moskwie). Bezpośrednia transmisja przeniesie nas do stolicy Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Najciekawszej zapowiadają się zabawy architektury cerkiewnej z X i XI wieku. O godz. 20.45 ujrzymy film fabularny prod. angielskiej „Nieuchwytny Smith”. Reżyserem, a zarazem odtwórcą roli głównej jest znakomity aktor angielski Leslie Howard (zginął w czasie ostatniej wojny). Na treść filmu składają się przygody profesora archeologii, który ratuje ludzkość, artystów i działaczy społecznych z hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Nie należy się dziwić, że hitlerowcy są tu śmieszni w swym okrucieństwie, ale w czasie nakręcania tego filmu nie zdawano sobie jeszcze na Zachodzie sprawy, czym hitleryzm był naprawdę. Działaj jest to już film nawiwy, ale jeszcze potrafi zaciękawieć.

Z pozycji piątkowych (8. VI.) żadna nie wybiła się na plan pierwszy. O godz. 18.55 w programie z cyklu „Świat się kurczy” obejrzymy audycję „Jutro o 6 w Bombaju”, w której omówione zostaną najnowsze zdobycze komunikacji na świecie. O 20.30 absolwenci Państwowego Liceum Muzycznego w Warszawie wykonają półgodzinny koncert kameralny. O 21.00 Młodzieżowe Studio Poetyckie nada program „Czerwone oczy maski”.

W sobotę (9. VI.) o godz. 21.00 zostanie nadany z Berlina program rozrywkowy „Od melodii

do melodii”. Nie radzę wyłączać odborników do Ostatnich Wiadomościach, gdyż o 21.05 będziemy mieli możliwość ujrzenia świetnego filmu francuskiego „Pariz 1900”. Jest to film zmontowany przez Neole Vedres z wyników kronik filmowych z lat 1900, 1914, oraz siedmiuset francuskich filmów fabularnych — tej samej epoki. Motem tego filmu ukończył Vedres w 1947 roku przy pomocy Alana Resnais'a (twórca filmu „Hiroshima moja miłość”). Zobaczymy tu tak znanych ludzi tamtych czasów, jak: Apollinaire, Paul Valery, Jaures, Clemenceau, Monet, Renoir, Sara Bernhardt, Mistinguett czy młody Chevalier. Film kończy się na wybuchu pierwszej wojny światowej. Jeszcze raz gorąco polecam ten dokument filmowy.

W niedzielę (10. VI.) o godz. 16.20 Łódź nada w programie ośmipolskim „Muzykę łatwą, lekką i przyjemną”. Chyba nadszedł czas, aby podziwiać po tej audycji czegoś łódzkiego. O godz. 20.45 obejrzymy film fabularny prod. NRD „Majestic”. Reżyserował go znany reżyser francuski Louis Daquin, a w roli głównej występuje również popularny amant francuski Jean Claude Pascal, obok którego występują jeszcze M. Robinson i E. Schell.

„TELEMAN”



Rys. Robert Raniszewski

K O B R A

odgłosy str. 11

Kup pan cegłę!

Z taką propozycją od dłuższego czasu zwraca się do wszystkich ludzi dobrej woli dyrektor budującego się Instytutu Przemysłu Skórzanego. Przy ulicy Zgierskiej 73 Instytut otrzymał teren pod budowę — w spadku po dawnej solarni skór. Ten pozornie niewinny fakt okazał się w skutkach tragiczny: materiałów z rozbiórki solarni — cegły i drewna, nie można się pozbyć. Nikt się do nich nie pali, bo cegła jest przesycona solą, a drewno „posiada grzybki”.

Złom sprzedaliśmy do centrali skupu złomu — wyjaśnia zrozpaczony dyrektor, część gruzu odstąpiliśmy bezpłatnie, za zwrot kosztów transportu „miejskim zielencom” do wysypywania dróg, część cegły udało się upłynnić Samopomocy Chłopskiej (niechaj jej los sprzyja!), ale z resztą cegły i gruzu, i drewna nie wiadomo co począć???

Zostawić — nie można, bo plac pod budowę musi być czysty. Ukraść — nie wolno, strażnik z psem czuwa nad dobytekiem. Kupić — „ni ma głupich”. Zrzucić na zypisko — zabronione, milicja tylko czeka na takie marnotrawstwo...

W rezultacie nie ma jak wjechać na budowę, wykonawca się denerwuje, budowa się „hamuje”, a pracownicy Instytutu na czele z dyrektorem myślą koncepcyjnie, co z tym fantem zrobić?

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Fot. A. Kobylński

Korespondencja

Panie Redaktorze „Odgłosów Tygodnia”

Pan jest mężczyzną, ale mam nadzieję, że potrafi się Pan wczuć w problemy kobiece. Konkretnie chodzi o fałdy z tyłu i o boczne cięcia oraz o zasewki. Wszystkie razem w związku z cennikami, które wywieszone są w Domach Mody, należących do Łódzkiego Przedsiębiorstwa Krawiecko-Kuśnierskiego. Bo te cenniki, to, Panie Redaktorze, kompletna fikcja.

Co Pan rozumie pod słowem „fantazyjny”? Co dla Pana oznacza określenie „fantazyjna garsonka” albo „fantazyjna sukienka”? — Chyba to, że sukienka posiada „ekstra fason”, że jest np. ozdobiona lamówką, szarfą, wiązałkami, żabotem, że ma fantazyjny kołnier lub mankiety, że draperie czy dół w kontrafałdy.

Otóż nie, Drogi Panie Redaktorze. Pan się myli. Nawet najprostsza sukienka typu „princessa”, bez żadnych lamówek czy stębnówek, z prostym małym kołnierzykiem, bez mankieciaków czy kieszeni, bez wypustek czy wiązańdek — też jest „fantazyjna”. Nawet najprostsza garsonka lub bluzka, nawet zwykła kostiumowa spódniczka z jedną fałdą — też jest „fantazyjna”. Dlaczego? Ano dlatego pewnie, że cennik Domów Mody przewiduje za uszycie sukienki wełnianej zwykłej — złotych 185.—, zaś sukienki wełnianej fantazyjnej złotych 225.—, za uszycie garsonki wełnianej zwykłej zł 200.—, zaś fantazyjnej — już 240.—.

Nie zdarza się, aby Dom Mody „szyły” sukienki zwykłe. Wszystkie lodzianki ubierają się wyłącznie „fantazyjnie”. Po cóż więc fikcja cennikowa, po cóż stwarzanie nie istniejących kategorii?

Na pytanie, dlaczego moja najprostsza pod słońcem sukienka też jest „fantazyjna” otrzymałam odpowiedź: „za ma zasewki i jest dopasowana”. A garsonka „ma cięcia i jest też dopasowana”.

Panie Redaktorze, pan się może na tym nie zna, ale moda sukien-worków już minęła. Zresztą taki work też byłby pewnie „fantazyjny” — dla odmiany dlatego, że nie dopasowany... A chyba w określeniu „uszycie sukienkę” mieści się i to, że ją krawcowa dopasowuje na figurze i nie rozumie, czemu mam za ten zabieg dodatkowo płacić.

I jeszcze, Panie Redaktorze, sprawa nici. Bo w Domach Mody do każdej uszytej „szuki” musimy dopłacić 14 złotych za tzw. dodatki. Za nici (zupelnie jakby można było uszyć coś bez nici), za gurt, za fastrygę. W najlepszym przypadku wszystkie te dodatki mogą kosztować 6 zł (szpulka nici, metr gurtu, fastryga). Guzików, zamki błyskawiczne, klamki itp. przynosimy własne. A dlaczego LPKK dolicza ponad 200 proc. „narzut”?.

Czy Pańskim zdaniem, Panie Redaktorze to wszystko jest w porządku?

Z szacunkiem

STALA CZYTELNICZKA

ODGŁOSY

tygodnia

NIEODZOWNYM WARUNKIEM...

Na budynku Huty Szkła „Hortensja” w Piotrkowie wisi transparent z napisem: „Nieodzownym warunkiem naszych sukcesów to więź partii z masami”. Czytając to szczytne hasło chciałoby się jednak powiedzieć: „Nieodzownym warunkiem pisania na powszechny użytek, to znajomość gramatyki polskiej”. Dodatkowej pikanterii zjawisku nadaje fakt, że napis umieszczono na budynku od strony toru kolejowego, czytają go mimowolnie co dzień tysiące ludzi.

Rozumiemy, że znajomość prawideł językowych do dmuchania szkła nie jest niezbędna, do prowadzenia pracy propagandowo-wychowawczej — chyba jednak tak.

KOSZMAR — KI

W kilku punktach Łodzi pojawiły się podobne rozbudowane karykatury pewnych dostojników technicznych i politycznych — symbole, mające na celu propagandę antykomunistyczną i antyimperialistyczną. W pasażu Łazienki ul. Piotrkowska 2 Al. Kosciuszki stoi Admireur na bombie, kłując się w pierś ul. Narutowicza — Karykatura budząca niepokój, o której trudno powiedzieć, że ona przynosi jakąś korzyść dla rozpostartej nad kontynentem wojny. Wskazuje o której stronie się bójka toczy.

Ponadto wspomniane tu karykatury, jak również inne — nie wymienione, wywołują nie najlepszą atmosferę propagandy wizualnej, spieszmy zatem do wystraszonych, którzy bardzo ostro krytykują ten ustawiony w środku miasta, że zostają one sprząnięte. W zamian za to, mieszkańcy propagowali tylko przez pędzla.

Karykatury, robiąc wyjątkowo antykomunistyczny — a co najmniej antykomunistyczny — specjalnie w Związku Pracy, zostały zatwierdzone przez Komitet Obronę Związku, opłacono przez państwo Łódźskie sporządzenie pracy na 225 zł. Nie zdajemy sobie sprawy, czy aby stanął na idziech Łódź, Złoty jest z przeznaczeniem na pobud funkcjonalny, czy zapobieganie swą rolę spełnia. Dopełnić robi się karykatury, gdy mają one przebiegać przez miasto, nie oczekując, czy „przebiega” miasto w podobnym kierunku, czy nie ma żadnych elementów — karykatury obywateli, niepokojące. W tym drugim wypadku, karykatury nie mające formy wyraża, takich propozycji, że one jest antykomunistyczny i antyimperialistyczny, który jest z tym, z którym można współpracować. Warto zaznaczyć, że nowe karykatury PRK mogą być przystosowane do miast, w których mogą zwrócić, a ich plany, wiadomo, że karykatury, mogą być karykatury, które zatwierdzone.

Dziękujemy, że chcieli wyobrazić karykatury, jak one są i jak podobały. Na przyszłość jednak warto zadać sobie sprawę, że byle karykatury nie prowadziły do budowania kosmaru wojny i zbrodni.

POSTÓJ DLA URZĄDZEN

...finansowych

Pewna placówka naukowo-badawcza w Łodzi otrzymała wreszcie po wielu staraniach upragnioną garbarnię w Warszawie, do przeprowadzania prac badawczych. Niestety, przez pół roku nie można jej było uruchomić z powodu braku urzędzeń... finansowych. Tak właśnie w języku urzędowym nazywają się wzory do rozliczeń zużytych materiałów i surowców. W myśl przepisów takie wzory winna opracować obdarowana garbarnia placówka. Ponieważ jednak jedyny jej główny księgowy akurat zrezygnował z pracy, nikt nie umiał „urządzeń” sprostować. Zwrócono się więc do Ministerstwa o zezwolenie na zlecenie tej pracy, jako osobie kompetentnej — jednemu z jego pracowników. Ministerstwo odmówiło, zwrócono się więc do Zjednoczenia, które bezpośrednio ma w swej opiece placówkę. Odmówiło także. Przepis głosi: pracownikom jednostki nadrzędnej nie wolno wykonywać prac dla jednostki podległej (jak ktoś podlega — niech sam robi. Jasne?). W podobnej z charakteru do omawianej placówce, błagających o „urządzenia” również załatwiono odmownie. W końcu nieoficjalnie podjął się dzieło to wykonać jeden z pracowników Zjednoczenia. Przeprowadzono to w ten sposób, że honorarium za pracę wypłacono mu w formie... nagrody.

Po półrocznych wysiłkach w omijaniu przepisów w celu skonstruowania zgodnych z przepisami wzorów rozliczeń, zdolano uruchomić garbarnię w kwietniu br.

Prace badawcze — podstawa postępu technicznego całej branży, dla której placówka istnieje, ruszyły...

Ludzie kochani, nie dajmy się zwariować!

KU PAMIĘCI

Urząd Telefonów Miejsowych zmuszony jest zarządzać po 15 każdego miesiąca wyłączenie setek numerów telefonicznych. W ten prosty a dotkliwy sposób skłania się opieszale do uregulowania rozmów, prowadzonych jak wiadomo, na kredyt. Średnio wyłącza się co miesiąc 700 abonentów przeważnie prywatnych, ale zdarzają się i instytucjonalni.

Dawniej upominało się zalegających z opłatą telefoniczną. Teraz uprzedza się pisemnie, ale w 30 dni po wyłączeniu, z wezwaniem do zapłaty i z uprzedzeniem, że jeżeli dług nie zostanie zlikwidowany, nastąpi zlikwidowanie numeru.

Wbrew pozorom z tym karnym wyłączeniem UTM ma sporo zwracania głowy i na tych karnych 25-złotowych opłatach nie zarabia. Angażuje się w ten przymus mnóstwo pracowników i czynności: i rachuby i centrali telefonicznej i biura napraw, jako że abonenci zapomniawszy o zapłaceniu rachunku zapominają również o tym zapomnieć i jak gdyby nigdy nie interweniują w biurze napraw, które wobec tego o wyłączeniu musi być uprzedzone.

Szczęty wyłączeń przypada na miesiące letnie, kiedy ludzie wyjeżdżają na urlopy. A przecież jeśli wyjeżdża się z Łodzi na wczasy przed pierwszym tj. przed otrzymaniem rachunku za telefon, można samorzutnie opłacić abonament miesięczny, który i tak leci i tak leci, a który i tak przyjdzie zapłacić po urlopie.

Przypominamy to w samą porę, w przeddzień sezonu wakacyjnego, z przeświadczeniem, że zaoszczędzimy każdemu naszemu roztargnionemu a „utelefonicznemu” Czytelnikowi 25 zł. Lepiej je wpłacić na prenumeratę „Odgłosów”.

HOTEL DLA PSA

Jak powszechnie wiadomo, jedynym rzecznikiem i obrońcą czworonogów jest Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Od dłuższego czasu Łódzki Oddział tej organizacji walczy z barbarzyńską działalnością rakarzy. Ponoć w niedługim czasie zawarta zostanie w tej sprawie umowa z władzami naszego miasta.

Towarzystwu przyznano już plac przy ulicy Wycieczkowej, na którym powstanie schronisko dla zwierząt. Ministerstwo Gospodarki Komunalnej wyasygnowało na ten cel niemałą sumkę 520.000 złotych.

Warto wspomnieć, że schronisko będzie nie tylko azylem dla zwierząt bezdomnych. Znajdzie się tam bowiem lecznica i... przechodnia zwierząt. Właściciele psów, kotów itp. będą mogli za niewielką opłatą umieścić tu swoich ulubieńców na okres wyjazdu czy urlopu.

Jak zapewnia prezes Towarzystwa, mecenas Stefan Łukasiewicz „azyl” będzie pomieszczeniem zbudowanym według najnowocześniejszych wzorów.

Wreszcie ciekawostka jakiej zresztą przykra. Rozpoczęcie budowy uzależnione jest od uzyskania akceptacji... siedmiu różnych instytucji.

ORS i DETEKTYWI

Łódzki ORS zatrudnia aktualnie sześciu „reszerszerów”. Z francuskiego źródła łatwo się zorientować, że chodzi tu o tzw. poszukiwaczy. Ich zadaniem jest odnajdywanie ukrywających się nabywców i żyjących w ukryciu. Za ustalenie miejsca pracy dłużnika otrzymują oni 35 złotych, za ustalenie

adresu (kiedyś biuro adresowe nie potrafiło udzielić informacji) — 25 złotych.

W cywilu „reszerszerzy” to pięciu studentów i jedna rencistka. Na brak zajęcia nie mogą narzekać. Rencistka musi stale uważać by nie przekroczyć dopuszczalnego miesięcznie w jej sytuacji zarobku — 700 złotych. Zaś jeden ze studentów, mając sporo czasu z okazji przerwy semestralnej, „wystukał” w lutym aż 1600 złotych.

Jak widać, nasz lud nie kwapi się z odebraniem „reszerszerom” szans zarobku.

Redaguje Zespół • Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” • Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 • Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— • Redakcja nie zamówionych reprintsów nie zwraca • Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z oznaczeniem na „Odgłosy” • Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Żwirki 17 • Zam. 1683 V.A 4-